Rok 4. Kraków, dnia 5 i 20 Lutego 1884 r. Nr. 3 i 4

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

Księgarnia K. Bartoszewicza w Krakowie

wydała oraz otrzymała na skład główny następujące dzieła:

Anczyc Wł. Dzieje narodu węgierskiego popularnie opisane z rycin. —·40

Asnyk. (E-ly) Cola Rienzi; dramat historyczny z XIV. wieku w 5-ciu aktach oryginalnie napisany cena 2 złr. zniżona 1·—

— Trubadurowie. Kraków 1872. —·20

Bajron. Don-Żuan w haremie, tłum. Edward Porębowicz. Kraków 1882 —·30

Bartoszewicz Juljan. Historya literatury polskiéj, wydanie 2 pomnożone i tańsze. — Kraków 1878. 2 tomy 7·—

— Historya pierwotna Polski, pierwsze wydanie z rękopisu 4-ty. Kraków 1879. 14·—

— Szkice z czasów saskich. Wydanie 1. Kraków 1880. Treść:

Kropińscy, obrazek sejmikowego życia. Grandmuszkieterowie Augusta II. Kampement w Warszawie. 1732. Sprawa Karwickiego. Pan Bystry. Dzieje niewiasty polskiej. Koronacje obrazów świętych. Ignacy Bohusz, późn. sekretarz konfed. Barskiej. Karol XII. w Warszawie w roku 1702. Warszawa w r. 1705. Ks. Wincenty Santini, nuncyusz w Polsce. 1721—1728. Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej w roku 1706. 3·50

— Studja historyczne i literackie. Wydanie 1-sze. Kraków 1881.

Treść tomu 1-go: Helena Iwanówna, żona Aleksandra Jagiellończyka. Stary poemat o Gdańsku. Krystyna Poniatowska (przyczynek do dziejów braci Czeskich w Polsce). O nuncjuszach w Polsce. O dochodach króla Stanisława Augusta. O przedrukowaniu Voluminów Legum 1732 r. O nowem wydaniu sag skandynawskich. Kniaź Kurbski na Wołyniu. Summy neapolitańskie. Kronika pałacu Krasińskich. Podróż Regnarda po Polsce. O bibliji reimskiej. Mikołaj Jemiołowski jako historyk. 3·50

Treść tomu IIgo: Elekcja Michała Korybuta. Księga kapturów rzeczyckich. O kasztelanie brzeskim Matuszewiczu jako poecie. Chazarowie i Połowcy. Ks. Wojciech z Konojad Dembołęcki. Starania domu Rakuzkiego w XVI. wieku dla pozyskania korony polskiej. Kasztelanja Połaniecka Kochanowskiego. Poselstwo księdza Jędrzeja Załuskiego do Portugalji 1674 = 1676. Podróż bezimiennego księdza francuzkiego do Polski za Jana Sobieskiego. Konstanty Świdziński i jego wieczysta fundacja. Hetmaństwo. Teatyni w Warszawie. 3.50

Treść tomu III-go: Warszawa i Kraków, jako stolice. Jan S. Jabłonowski i jego dzieło: Skrupuł bez skrupułu. Prawo o elekcji. Bitwa pod Beresteczkiem. Księga protokółów franciszkańskich prowincji ruskiej. Mazowsze-Mazury. Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej. Co znaczyła i gdzie była Ukraina? Anna z Sapiehów Jabłonowska. Czy Przecław Lanckoroński był hetmanem Kozaczyzny. Kniaziowie i Książęta w Polsce. 3·50

Cena 3-ch tomów razem 10.50

Bartoszewicz Juljan. Anna Jagiellonka, 2 tomy razem Kraków 1882. 3.50

— Szkic dziejów kościoła ruskiego w Polsce, wydanie 1-e Kraków 1880. 4·—

— Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, Wojewody Mińskiego. Warszawa 1862. 2·50

— Kniaź i Książę. Kraków 1876. —·60

— Zamek Bialski, historya miasteczka, obrazy z życia magnatów. 1881. Lwów 2·25

Bartoszewicz K. Małpa - człowiek, nieznana satyra z XVIII. w. (odbitka z Ateneum) —·50

— Życie Jana Kochanowskiego, treściwie zebrane Kraków 1883. —·20

— Dwadzieścia kronik Przeglądu literackiego i artystycznego. Kraków 1883. —·80

Bełcikowski. Wieczór w Czarnolesiu, scena liryczna Kraków 1882. —·20

Beranger. Piosnki w tłumaczeniu L. Kozłowskiego (w druku).

Bodzantowicz. Rodzina konfederatów. Puławscy. Lwów. 1869, cena 3 złr. zniż. na 1·50

Buliński. Historya kościoła polskiego 3 tomy. Kraków 1873. cena 12·—

Buszczyński. Ameryka i Europa, studium historyczne i finansowe z krytycznym na sprawy społeczne poglądem. Kraków 1876. cena 5 złr. zniż. na 2·50

— Sądy cudzoziemców o Polsce i jej walkach z zaborcami. Kraków 1883. —·50

Chołoniewski ks. Pisma pośmiertne 2 tomy. Lipsk 1854 cena 5 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Dzieduszycka Anastazja. Listy nauczycielki. Kraków 1883. 1·—

Dzieduszycki Izydor Dr. Patrjotyzm w Polsce. Kraków 1882 i 1883, 2 części 1·—

Dzieduszycki hr. Maurycy. Żywot Wacława Hieronima Sierakowskiego arcybisk. lwowskiego. Kraków. 1868 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·80

Flaubert Gustaw. Córa Hamilkara (Salambo). Kraków 1867 (na wyczerpaniu) cena 2 zlr. 50 ct. zniż na 1·—

Grudziński St. Idealista, poemat fantastyczny. Kraków 1871 cena 60 ct. zniż. na—·20

Heisig. Przewodnik do rysunku cyrklowego i linijnego, jako wstępna nauka do geometryi wykreślnej, rysunków architektonicznych i t. d. Kraków 1875 cena 2 złr. 40 ct. zniż. na 1·20

Hofmann A. W. Wstęp do nowoczesnej chemii, przetłómaczył z 5 wydania niemieckiego L. Masłowski. Kraków 1875 cena zł. 3.50 ct. zniżona na 1·50

Dr. Jordan. Nauka położnictwa dla użytku położnych 2 tomy. Kraków 1879 (na wyczerpaniu) 4·—

Kasprzycki. Geografia początkowa cena 75 ct. zniż. na—·30

Kraszewski - więzień i Niemcy Kraków 1883 —·30

Kochanowski Jan. Pieśni i treny. Kraków 1883 —·50

— Fenomena, Muza, Satyr, Monomachja. Kraków 1883 —·40

— Odprawa posłów greckich, Szachy, Dziewosłąb, Zuzanna, Broda, Marszałek, Zgoda, Epitalamium, Proporzec, Wtargnieniedo Moskwy, Pamiątka. Kraków 1883 —·50

— Fraszki. Kraków 1883 —·40

— Fragmenta, Wzór pań mężnych, Wróżki, O Czechu i Lechu, Wykład cnoty, O pijaństwie, Apoftegmata. Kraków 1883 —·30

— Psałterz Dawidów. Kraków 1883 —·80

— Rymy łacińskie w tłomaczeniu Brodzińskiego i Syrokomli. Kraków 1883 —·80

— Dzieła. Wydanie kompletne w 4-ch tomach, zawierające wszystkie pisma polskie Kochanowskiego, oraz dzieła łacińskie w tłomaczeniu Syrokomli i Brodzińskiego. Wydanie uznane za najlepsze ze wszystkich dotychczasowych, z dodaniem życiorysu, facsimile i portretu poety podług pomnika w Zwoleniu. Kraków 1882 3·20

— toż samo w oprawie w płótno ang. 4·80

Koziebrodzki. Klaudja, dramat. Kraków 1871 —·40

Krasicki Ignacy. Bajki i przypowieści. Kraków 1883 —.20

— Satyry. Kraków 1883 —·30
— Wiersze różne i wiersze z prozą. Kraków 1883 —·40
— Listy. Kraków 1883 —·10
— Myszeis. Kraków 1883 —·20
— Monachomachja i Antimonachomachja. Kraków 1882 —·20
— Wojna Chocimska. Kraków 1883 —·20
— Pieśni Ossyana. Kraków 1883 —·30
— Przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego Kraków 1883 —·50
— Historja. Kraków 1883 —·50
— Pan Podstoli. Kraków 1883. 1·—
— Komedje. Kraków 1883. 1·—
— Dzieła w 5 tomach z portretem. Kraków 1883. 4·—
— tož samo w oprawie 6·—

Kraszewski J. I. Tomko Prawdzic, wierutna bajka. Lwów 1866. cena 50 ct. zniż. na—·25
Lipiński Tymoteusz. Pamiętniki z lat 1825 — 1831, Kraków 1883. 2—
Łoziński Wł. Galiciana. Lwów 1872 cena 1 zł. 50 ct. zniżona na—·80
Mill John Stuart. O rządzie reprezentacyjnym, przełożył na język polski G. Czernicki. Kraków 1866, cena 2 złr. 40 ct. zniż. na—·50
Müller Max. prof. Religja jako przedmiot umiejętności porównawczej, Kraków 1876 cena 1 zł. 20 ct. zniżona na—·60
Dr. Müller Karol. Świat roślinny, dzieło poświęcone miłośnikom przyrody z 400 drzeworytami. Kraków 1867 2 tomy 4 złr. zniż. na 2.50
N emcy czy Moskale. Kraków 1881. —·25
Nowelle. Zbiór nowelli: Dickensa, Daudeta, Puszkina Copeé'go, Turgeniewa, Kulisza, Elizy Polko, Jokaja i t. d. Kraków 1883. 3 zeszyty. Każdy zeszyt po —·50
Okoński. Niewinni i Antea, dramaty. Kraków 1876. 1 złr. zniżona na—·50
Opaliński. Satyry. Kraków 1883 (w druku). —·80
— tož samo w oprawie 1·20
Pawlikowski. Tajemnica pani Krzuckiej, nowella, Kraków 1876. —.75
Pieśni polskie, zbiór ulubionych pieśni patrjotycznych. Kraków w r. 1883. —·60
— tož samo w eleganckiej oprawie 1·—
Pol Wincenty. Obrazy z życia i natury 2 tomy, 4 zł. zniżona na 1·60
Przewodnik po Krakowie (najnowszy) z dołączeniem planu miasta, informacyj, adresów. Kraków 1882—·60
— tož samo w oprawie —.60
Rovani. Młodość Juliusza Cezara, opowiadanie z czasów rzymskich. Kraków 1876. (wyczerpane)
Sabowski. Józef Hauke Bosak, szkic biograf. Kraków 1866. —·20

— Intrygant, powieść. Kraków 1876 (na wyczerpaniu). zniżona na—·75
Schmidt Henryk. Szkic historyczny dziejów 30-letniego panowania Stanisława Augusta z 8 rynami rysunku Kossaka i W. Eljasza. Kraków 1862 cena 1 złr. 20 ct. zniż. na—·50
Szujski. Długosz i Kallimach. Lwów 1880. 1·—
Słowacki Juljusz. Hugo, Mnich, Arab, Jan Bielecki, Żmija, W Szwajcarji, Ojciec zadżumionych. Kraków 1882. —.40
— Lambro, Anhelli, Wacław, Duma o Rzewuskim, Grób Agamemnona, drobne wiersze. Kraków w roku 1882. —·40
— Mindowe, Marja Stuart, Pan Tadeusz. Kraków w r. 1882. —·40
— Sen srebrny Salomei, Król Duch. Kraków 1882 —·40
— Balladyna. Kraków 1882. —·40
— Beniowski. Kraków 1882. —·40
— Lilla Weneda, Mazepa. Kraków 1882 —·40
— Kordjan, O potrzebie idei. Kraków 1882. —·40
— Książę niezłomny. Kraków 1882. —·40
— Ksiądz Marek, Poema Piasta Dantyszka o piekle Kraków 1882. —·40
— Dzieła Juljusza Słowackiego, pierwsze tanie wydanie w 5-ciu tomach, zawierające toż samo co wydania lipskie i lwowskie z dodaniem odnalezionego urywku poematu „Pan Tadeusz" Kraków 1882 cena 4·—
— tož samo oprawne w płótno angielskie 6·—
Sprawozdania literackie. Maj-Październik 1882. r. Kraków 1883 —·20
Stanowisko Polaków w sprawie rossyjsko-niemieckiej. Kraków 1882. —·30
Szajnocha. Początek lechicki Polski. Lwów 1858 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50
Szpaderski X. Patrologja, 2 tomy. Kraków 1878 r. cena 4 złr. zniżona na 1·50
Wierzbicki Dr. Geometrja wykreślna wraz z zastósowaniem do teoryi cieniow i wolnej perspektywy 2 części z 2 atlasami dla użytku wyższyh szkół realnych. Kraków 1875 każda część 2 zł. zniżona na 1 złr. 50 ct. dwie części 3·—
Zacharjasiewicz. Marek Poraj, powieść z czasów pierszego rozbioru Rzplitej polskiej. Kraków 1867. cena 2 złr. 40 ct. zniżona na—·80
Załęski St. ks. T. J. Słowo o książce Juljana Bartoszewicza: Szkic dziejów kościoła ruskiego. Lwów 1881. —·15
Ziemiałkowski Florjan, życiorys z portretem. Kraków 1883. 1·—
Zawiliński R. Z Etnografji krajowej. Kraków 1883. —·20
Żółkowski. Momus. Kraków 1883 —·80
— tož samo w oprawie 1·20

PERŁY HUMORU POLSKIEGO

wychodzą zeszytami i obejmują to wszystko, co literatura nasza wydała wybitnego na polu humorystyki. Zacząwszy od Reja a skończywszy na ostatnich humorystach naszych — każdy znajdzie miejsce w **Perłach humoru.** Procz tego uzupełniamy ten zbiór anegdotami, wierszami i innemi humorystycznemi drobiazgami, jakie niedrukowane dotąd znajdują się po rękopismach. Podajemy tylko sam wybór, tylko prawdziwe **perły humoru**, aby treść odpowiadała w zupełności tytułowi. Wchodzą do zbioru i przysłowia i dowcipne aforyzmy, wejdą i utwory ludowe, których świeży, naturalny dowcip niejednokrotnie wiele ma wartości i głębokiej myśli. Słowem **Perły humoru** będą rzeczywistą skarbnicą narodowego dowcipu.

Perły humoru wychodzą nakładem K. Bartoszewicza w 2ch wielkich tomach. Dla ułatwienia w nabywaniu każdy tom podzielony został na 6 zeszytów. Cena każdego zeszytu w wielkiej 8ce obejmującego 3—4 arkuszy druku wynosi **30** ct., z przesyłką pocztową **35** ct. **Składający z góry prenumeratę za całość 12 zeszytów płacą tylko 3 złr.** z przesyłką pocztową zaś **3** złr. **50** ct.

Siedem zeszytów **Pereł humoru** już się ukazało. Dalsze zeszyty wychodzić będą w odstępach dwu-tygodniowych.

Prenumeratę na **Perły humoru** przyjmuje się tylko do 20 Marca 1885.

KATALOG
WAŻNIEJSZYCH PISM POLSKICH
na które prenumeratę przyjmuje księgarnia
K. Bartoszewicza.

Tytuł pisma	Prenumerata w Krakowie						w całem państwie austryackiem z przesyłką					
	kwartalnie		półrocznie		rocznie		kwartalnie		półrocznie		rocznie	
	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct.	zł.	ct
Ateneum	—	—	10		20	—	—	—	10	60	21	2
Biblioteka najc. utworów	2	—	4	—	8	—	2	15	4	30	8	60
„ warszawska		—	7	50	15	—	—	—	8	10	16	20
Biesiada literacka	2	—	4	—	8	—	2	30	4	60	9	20
„ „ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	3	—	6	—	12	—
Bluszcz	2	75	5	50	11	—	3	50	7	—	14	—
„ z dod. mód kolor.	4	75	9	50	19	—	5	40	10	80	21	60
Echo muzyczne	2	50	5		10	—	3	15	6	30	12	60
Gazeta lekarska	—	—	4	15	8	30	—	—	4	75	9	50
„ rolnicza	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Gospodyni wiejska	2	50	5	—	10	—	2	80	5	60	11	20
Kłosy	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ z Bibl. najc. utworów	5	30	10	60	21	20	6	30	12	60	25	30
Kolce	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Kronika rodzinna	1	65	3	30	6	60	—	—	4	—	8	—
Medycyna		—	4	15	8	80	—	—	4	75	9	50
Mucha	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Niwa	3	—	6	—	12	—	3	30	6	60	13	20
Ogrodnik		—	5	—	10	—	—	—	5	70	11	40
Przegląd katolicki	2	10	4	20	8	40	2	40	4	80	9	60
„ lekarski	2		4	—	8	—	2	20	4	40	8	80
„ lwowski	2	60	5	—	10	—	—	—	—	—	—	—
„ polski	4	—	8	—	16	—	—	—	—	—	—	—
„ techniczny	—		6	65	13	30	—	—	7	—	14	—
Przewodnik bibliograficzny	—	28	—	50	1	—	—	34	—	62	1	24
„ nauk i literacki	1	25	2	50	5	—	—	—	—	—	—	—
Przyjaciel dzieci	1	50	3	—	6	—	1	80	3	60	7	20
Przyroda i przemysł	2	50	5	—	10	—	2	75	5	50	11	—
Tygodnik illustrowany	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ powszechny	3	30	6	60	13	20	4	—	8	—	16	—
„ rolniczy	2	—	4		8	—	2	75	5	50	11	—
„ romansów i powieści	1	40	2	80	5	60	1	60	3	20	6	40
„ „ z Bil. naj. utw.	3	40	6	80	15	60	4	—	8	—	16	—
Wędrowiec	2	—	4	—	8	—	2	25	4	50	9	—
„ z dodatkiem	2	50	5	—	10	—	2	90	5	80	11	60
Wieczory rodzinne	1	65	3	30	6	60	1	90	3	80	7	60

Księgarnia przyjmuje prenumeratę i na wszystkie inne czasopisma polskie i obce, z wyjątkiem pism codziennych.

NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA
wyszło **pierwsze tanie wydanie**

DZIEŁ JULJUSZA SŁOWACKIEGO

w pięciu tomach z portretem.

Wydanie to zawiera toż samo co wydania lipskie i lwowskie, oraz odnaleziony urywek poematu Juljusza: Pan Tadeusz.

Pod względem poprawności korekty wydanie to przewyższa wszystkie dawniejsze. Papier biały, druk czysty i wyraźny.

Cena 5ciu tomów 4 złr.
W ozdobnej oprawie w płótno angielskie z wyciskami cena 6 złr.

Od d. 1 Lipca 1878 r. wychodzi w Krakowie pod redakcyą Dra Władysława Wisłockiego, kustosza biblioteki Jagielońskiej

„PRZEWODNIK BIBLIOGRAFICZNY“

miesięcznik dla wydawców, księgarzy, antykwarzy, jakoteż czytających i kupujących książki. Każdy Numer w objętości $^1/_2$—$1^1/_2$ arkusza druku w zwykłej 8ce, 49 wierszy (61 petytowych) wysokiej, zawiera trzy działy: 1. Bibliografię właściwą bieżącą; 2. Kronikę; 3. Ogłoszenia czyli inseraty księgarskie, drukarskie i t. p.

WARUNKI PRENUMERATY:

całorocznie	1 złr.,	z przesyłką	1 złr.	24 ct.	
$^1/_2$	„ 50 cent.,	„	—	62 „	
$^1/_4$	„ 28 „	„	—	34 „	
$^1/_{12}$	„ 10 „	„	—	12 „	

Opłata od ogłoszeń za każdą $^1/_{10}$ część strony 50 cent., za całą stronnicę czyli 61 wierszy petytowych 5 złr.

Prenumeratę w gotówce i wyraźnie pisane ogłoszenia przesyłać należy za pośrednictwem księgarń krajowych i zagranicznych najdalej do 20 każdego miesiąca, albo do księgarni **G. Gebethnera i Spółki** w Krakowie, albo wprost do redaktora „Przewodnika bibliograficznego“.

Księgarnia K. Bartoszewicza nabywa I-szy i 13-ci Nr. „Przeglądu“ z r. 1882 po 30 ct. za egzemplarz.

Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca **Jan Blaschke**.
W drukarni A. Koziańskiego.

Rok IV. Kraków, dnia 5 i 20 Lutego 1885 r. Nr. 3. i 4.

PRZEGLĄD
LITERACKI I ARTYSTYCZNY

pismo poświęcone literaturze, sztuce i sprawom społecznym.

PRENUMERATA.
W Krakowie: *rocznie 6 złr., półrocznie 3 złr., kwartalnie 1 złr. 50 ct.*
Z przesyłką w Austryi: *rocznie 6 złr. 50 ct., półrocznie 3 złr. 25 ct., kwartalnie 1 złr. 63 ct.*
W Wielkopolsce: *z przesyłką rocznie 12 Mrk., półrocznie 6 Mrk., kwartalnie 3 Mrk.*

Główny redaktor **K. Bartoszewicz.**
Wydawca i redaktor odpowiedzialny **Jan Blaschke.**
Adres Redakcji i administracji:
K. Bartoszewicz w Krakowie
ul. Sławkowska, hotel Saski.

W Warszawie: *prenumerata rocznie 4 rs., półrocznie 2 rs. Z przesyłką do Cesarstwa i Królestwa rocznie 6 rs., półrocz. 3 rs. Skład główny w Warszawie u G. Centnerszwera. (Marszałkowska 73).*
Przegląd wychodzi każdego 5go i 20 dnia miesiąca i obejmuje półtora arkusza druku z dodatkiem rysunku lub autografu.

Wobec faktu.

Stoimy wobec smutnego faktu.

Konkurs na pomnik Mickiewicza rozstrzygnięty został na korzyść projektu, nieodpowiadającego warunkom konkursowym, pozbawionego wszelkiej oryginalności, a co najważniejsza niczem niemówiącego, iż naród stawia pomnik największemu swemu poecie i przedstawicielowi najwznioślejszych idei.

Co było przyczyną wynagrodzenia tego projektu, dlaczego tak boleśnie ogół w uczuciach dotknięto, czy grała w tej sprawie jak chcą jedni protekcja, czy nieznajomość rzeczy, czy wreszcie, co najprawdopodobniejsze, wynik konkursu był nieprawem dziecięciem «wyższej polityki,» przekładającej miernotę, jeżeli nic nie wyraża, nad dzieło wyższej wartości, śmiało poruszające serdeczne marzenia i ścigane ideały? — to są rzeczy poboczne, wobec doniosłości spełnionego faktu, a zwłaszcza wobec zapytania co dalej czynić wypada?

Protesty i artykuły dziennikarskie wyrażają niezadowolenie opinji, ale praktycznego rozwiązania nie przyspieszają. Ton ich, nieco za ostry, doprowadza tylko «organa porządku moralnego» do tak rozpasanej i wyuzdanej swawoli, jakiej próbkę dało «Słowo» warszawskie w swoim artykule, piętnującym wszystkich artystów i większość ogółu nazwą «warchołów».

Dziwna zapamiętałość stronnictw politycznych odbiła się w sprawie artystycznej: jak na komendę każdy konserwatysta ze «Słowem» i «Czasem» na czele chwali projekt p. Dykasa i piorunuje na liberałów, a «N. Reforma» przypisuje wszystko machinacyom stańczyków. Trzebaby wierzyć, że siatkówki konserwatystów i liberałów inaczej są zbudowane i że inne jest piękno, inne jest poczucie monumentalności u pierwszych, a inne u drugich. Powiększa się szereg wzajemnych łajań, projekt p. Dykasa doprowadza do wojny domowej. Niewiele brakuje, aby rozdrażnienie wyszło poza granice, których zachowania wymaga powaga sprawy i dobro powszechne.

W obecnej chwili pokrzywdzeni są wszyscy. Pokrzywdzonem jest społeczeństwo, bo jego uczucia zrozumiane nie zostały; pokrzywdzeni są artyści, bo prace ich lekceważono; pokrzywdzoną jest opinja, bo ją bezmyślnie deptano; pokrzywdzony jest komitet mickiewiczowski, bo pociski za błąd jury przeciw niemu się zwracają.....

Nie drażnić więc, lecz naprawiać dzieło należy. Do tego potrzeba przedewszystkiem dobrej woli, a następnie wzajemnych poświęceń.

Niech ogół złoży krzywdę na ołtarzu dobra powszechnego, niech artyści-rzeźbiarze zapomną o doznanem rozczarowaniu i przyjmą fakt spełniony, niech jury przyzna się do błędu, a przynajmniej w obronie jego nie walczy, komitet mickiewiczowski wreszcie niech poświęci coś z zapatrywań własnych na korzyść wymagań ogółu.

Do rozważnego postępowania potrzeba spokoju. Przedewszystkiem więc należy do spokoju tego przez wzajemne ustępstwa doprowadzić.

Opinja wyrażona przez Walne Zgromadzenie «Koła artystyczno-literackiego krakowskiego», którą poniżej umieszczamy, jest zapowiedzią pomyślnego zwrotu. Ton jej spokojny, poważny — życzenia i propozycje zredagowane na podstawie porozumienia się artystów i ludzi dobrej woli. Przyjęciem ich komitet mickiewiczowski ułatwiłby sobie zadanie.

A zadanie to niełatwe zapanować nad wzburzonemi namiętnościami. Chcąc spełniać wolę ogółu, trzeba tę wolę poznać, a raczej przeczuć. W tym względzie, powiedzmy otwarcie, komitet mickiewiczowski zawsze błądził, nigdy nie wiedział czego od niego ogół wymaga.

Dlaczego? — odpowiedź łatwa:

Komitet (mówimy o jego członkach miejscowych) składa się wyłącznie prawie z ludzi jednego stronnictwa, a ma prowadzić rzecz stojącą ponad stronnictwami. W tem leży błąd, zaród wszelkich niesnasek i nieporozumień. Komitet wie tylko jak się zapatruje jedno stronnictwo na sprawę pomnika, nie odczuwa pragnienia wszystkich.

Z tego powodu przychylając się całkiem do opinji «Koła», uważalibyśmy za rzecz wielkiej wagi, mogącą raźno i stanowczo sprawę naprzód posunąć, postawienie na porządku dziennym pierwszego posiedzenia Komitetu sprawy uzupełnienia go przez dobranie ludzi różnych obozów, lecz połączonych z sobą wspólną myślą uczczenia pamięci wielkiego wieszcza w sposób godny zdrowego i wierzącego w swą przyszłość społeczeństwa.

«Opinja» Koła artyst. liter. przesłana na ręce Dra Feliksa Szlachtowskiego brzmi jak następuje:

Jaśnie Wielmożny Panie Prezydencie!

Walne Zgromadzenie członków «Koła artystyczno-literackiego» poleciło przesłać Jaśnie Wielmożnemu Panu, jako Prezesowi Komitetu budowy pomnika Mickiewicza następującą jednogłośnie wyrażoną swoją opinją:

Udzielenia przez jury pierwszej nagrody projektowi nieposiadającemu cech monumentalności, nieodpowiadającemu rozmia-

rami swemi miejscu przez Komitet wybranemu i odbiegającemu znacznie kosztorysem od kwoty na pomnik już zebranej i przypuszczalnie zebrać się jeszcze mogącej — nie można nazwać ściśle opartem na warunkach konkursu przez Komitet ogłoszonych. Sam fakt uznania przez jury potrzeby licznych zmian w projekcie nagrodzonym dowodzi, iż projekt nie odpowiadał głównemu warunkowi konkursu, a mianowicie ustępowi: «Pierwsza nagroda przyznaną będzie projektowi *bezwzględnie* dobremu, który według orzeczenia jury odpowiada warunkom wykonania.» Głównego tu zawodu na razie doznali artyści-rzeźbiarze, którzy prace swoje zastosowawszy do wymagań konkursu, słusznie czują się pokrzywdzonymi odznaczeniem projektu, najmniej wymagania konkursowe uwzględniającego.

Pomijając jednak sprawę nagrodzenia projektu «Świteź», prawdziwy niepokój podzielany przez cały ogół, manifestujący się w głosach prawie całej polskiej prassy, w protestach rzeźbiarzy, artystów-malarzy i młodzieży, wywołała uchwała jury, dążąca do wykonania pomnika Mickiewicza podług odznaczonego pierwszą nagrodą modelu.

Pomimo zmian proponowanych przez jury, projekt ten nie odpowiada zupełnie żądaniom ogółu, który pragnie, aby pomnik postawiony Mickiewiczowi posiadał cechy narodowe, był monumentem świadczącym o niespożytej łączności narodowej, aby znać w nim było, iż cały ogół polski, bez względu na różnice stronnictw i towarzyskie rozdziały, spieszył swoim groszem wdowim przyczynić się do wystawienia pomnika największemu wieszczowi i tej myśli, jaką dzieła jego wyrażały. Pomnik postawiony w Krakowie przez naród Mickiewiczowi winien samą ornamentyką swoją, figurami, płaskorzeźbami przemawiać do ogółu, aby napis: «Mickiewiczowi — naród» był już prawie zbytecznym. Odczuł to największy mistrz naszej sztuki, przesyłając jury genialnie rzuconą na karton myśl swoją.....

Zważywszy zatem, że postawienie pomnika według zmienionego projektu «Świteź» byłoby spaczeniem myśli, która naród do składek zachęciła — Walne Zgromadzenie «Koła» wyraża nadzieję, iż Komitet mickiewiczowski przyjąwszy wyrok i uchwały jury do wiadomości, zechce nadać pomyślniejszy obrót całej sprawie.

Nie wchodząc w prawa Komitetu, zostawiając zupełnie jego uznaniu wybór drogi, mającej doprowadzić do pożądanego celu, czy to przez ogłoszenie trzeciego konkursu ogólnego lub ściślejszego, czy też za pomocą innych obmyślanych przez Komitet środków — Walne Zgromadzenie «Koła» pragnie tylko, aby charakter narodowy pomnika, w niniejszej opinji wyrażony, mieścił się w rzędzie warunków, których dopełnienia od artystów Komissja oceniająca przedewszystkiem wymagać powinna.

Ponieważ zaś jest rzeczą słuszną, aby kraj posiadający artystyczne instytucje używał ich pomocy w sprawach tego rodzaju, a nie oddawał decyzyi komitetom wybranym przez ludzi najlepszej woli, ale mogących w wyborze pobłądzić, Walne Zgromadzenie «Koła» uważa za stosowne zaproponować, aby powołana w razie potrzeby przez Komitet Komissja oceniająca składała się z delegatów: Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie, Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie, Lwowie i Krakowie, Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, Muzeum narodowego w Krakowie, «Kół» artystyczno-literackich we Lwowie i Krakowie, oraz Towarzystwa technicznego w Krakowie. Komu zaś należałoby tej Komissji przewodniczyć, kto powinien mieć zawsze ostatnie słowo w sprawach artystyczno-narodowych — to głos opinji dawno już rozstrzygnął.....

W końcu Walne Zgromadzenie «Koła» korzysta ze sposobności i wyraża nadzieję, iż na przyszłość do oceny prac artystycznych zawsze powoływani będą delegaci lub przedstawiciele tych instytucyj, które z natury rzeczy jedynie są kompetentne do tworzenia składu jury i do rozstrzygania spraw artystycznych.

Przesyłając powyższą opinją Jaśnie Wielmożnemu Panu Prezydentowi, upraszamy o zakomunikowanie jej Komitetowi budowy pomnika Mickiewicza.

Z najgłębszym szacunkiem.

Kazimierz Bartoszewicz
sekretarz.

Juljusz Kossak
prezes «Koła».

Z NIEMIECKIEJ LIRYKI.

I.

SEN NA JAWIE.

(Z Bodenstädt'a: Mir träume einst ein schöner Traum).

Pomnę, żem w życiu miał sen jedyny:
Była to miłość cudnej dziewczyny;
Gaj nas zielony otaczał w koło,
A pieśń wiosenna brzmiała wesoło!..

Już kwitły pączki, rzeki wzbierały,
Z wioski nas echa dolatywały —
A my rozkoszną ciesząc się dobą,
Zajęci tylko byliśmy — sobą...

Lecz od snu tego milszą mi była
Chwila, co w prawdę sen ów zmieniła;
I wówczas gaj nas otaczał w koło,
I znów pieśń wiosny brzmiała wesoło!..

Pączki już kwitły, rzeki wzbierały,
Z wioski nas echa dolatywały —
Jam cię w uścisku trzymał serdecznym
Pragnąc, by sen mój pozostał — wiecznym!

Ach! o tym gaju w wiosny rozkwicie
Pamięć przez całe zachowam życie:
W nim rzeczywistość — *snem* dla mnie była,
A miłość w *prawdę* — sen zamieniła!..

II.

Z MIRZA-SCHAFFY.

(Z Bodenstädt'a).

Ja z aniołami — z nieb mieszkańcami,
Ani z pachnących róż powabami —
Z słońcem, co wieczną odbywa drogę,
Zulejki mojej — równać nie mogę!..

W ustach aniołów miłość nie żyje,
A róża kolce zdradzieckie kryje,
Noc kirem słońca okrywa drogę —
Więc ich z Zulejką równać nie mogę!...

Z niczem — na świata całym obszarze —
Zulejki równać się nie odważę:
Słodka, bez cierni, piękna jak zorze,
Z sobą się tylko porównać może!

III.

ŁZA.

(Z Hamerling'a: O trockne diese Träne nicht).

O! nie ocieraj tej łzy przeczystej,
Pełnej wdzięcznego uroku —

Jak w róży perła rosy srebrzystej,
Ona połyska w twem oku!
Błogosławiony owoc miłości:
Miłość tej matką łzy była —
Ach! obyż blaskiem takiej jasności
Dla mnie na wieki świeciła!

Łezka, co z jasnych ocząt twych płynie,
Ach! jakże krótkie ma życie...
Swiętem jej źródło — a jednak zginie
Jeszcze w zarodu rozkwicie.
Bo, co jest czystej duszy udziałem,
Boleść życiowa spowija...
A co jest wielkiem, wzniosłem, wspaniałem,
Z czasem upada — przemija!..

Łezka, co z jasnych twych ocząt płynie,
Z świętej miłości poczęta,
Więc w każdej życia mego godzinie
Radbym w twe patrzeć oczęta!
Ona, jak perła rosy srebrzystej,
Pełna wdzięcznego uroku —
Więc nie ocieraj tej łzy przeczystej,
Która połyska w twem oku!

IV.

ADAGIO.

(Z Ferdynanda Saar'a).

Dzień taki krótki
W zimowej dobie!
Pola i lasy
Milczą w żałobie...

Mrocznego nieba
Gwiazdy nie złocą —
W chatach czarowne
Swiatła migocą...

Łagodnie szemrze
Potoczek mały
Co raz smutniejszy
Krajobraz cały...

Wtem tajemnicze
Zabrzmiały szmery —
I ruch powietrzne
Napełnia sfery!..

Jakby dalekich
Pieśni kaskada —
Snieg w dużych płatkach
Na ziemię spada...

V.

CUDOWA KAPELA.

(Z Uhland'a).

Czarowne dźwięki pieszczą me ucho.
Słodka muzyka nie daje spać —
O matko moja! kto o tej porze
Mógłby tak ślicznie śpiewać i grać?..

„Ja nic nic słyszę i nic nie widzę.
„Spoczywaj dalej w rozkosznym śnie,
„Biedna ty moja chora dziecino
„Tak późno nie gra muzyka — nie!“

O! to nie ziemskich dźwięków melodja,
Co tak radośnie w uszach mi brzmi:
Chór mię aniołów do siebie woła,
Więc moja matko dobranoc ci...

Edmund Rossowski.

WARSZAWIAK NA WSI.

OPOWIADANIE JÓZEFA BLIZIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

Pan radca Góronowski, do którego domu jechaliśmy w odwiedziny, był ultra-arystokratą, jeżeli nie z prawa przyrodzonego, to z przekonania. Wierzył mocno w wyższość swoją i posłannictwo, a mając się za arcykapłana idei, stał się tej wiary swojej fanatykiem. Fanatyzm ten najniewinnniej w świecie zrobił zeń śmiesznego oryginała; bo pomnąc zawsze na to, że powinien godnie nosić nazwisko Góronowskich po przodkach odziedziczone, zadzierał nosa tak, jak i nie śniło się zapewne żadnemu z poczciwych jego protoplastów, szlachty zwyczajnej, jakiej było u nas tysiące.

Ale skądże to wynoszenie się, to poczuwanie do misyi, to zadzieranie nosa, nie mówię już względem plebejuszów, ale w obec ludzi równych mu pod każdym względem? oto stąd, że stryj pana radcy, zmarły bezdzietnie, brat rodzony jego ojca, będący przed rokiem 1794 starostą, został później hrabią, do którego to tytułu młodsza linia nie miała żadnego prawa. Otóż, gdyby pan radca był także hrabią, ludzie by o tem wiedzieli, i on sam byłby może zupełnie innym; ale ponieważ nie każdy znał heraldykę, a dzieje nieszczęściem tę okoliczność przemilczały, okazywała się potrzeba przypominać co chwila wszystkim, że jedna linia Góronowskich miała tytuł hrabiowski i że niewiele brakowało, aby i druga dostąpiła tego zaszczytu. Pan radca był pół-hrabią, a skutkiem tego postępował tak, jak postępują wszystkie istoty połowiczne, półludzie. Wszakże człowiek cały nie wynosi się z tego, że jest człowiekiem.

Pretensye p. radcy w stosunkach z towarzystwem, były po za możliwem kołem wymagań, co pomimo jego prawości i uczciwości, robiło mu wielu nieprzyjaciół. Jakoż ludzie są już tak stworzeni, że każdy przy najskromniejszej nawet dozie zarozumienia, ma dobre o sobie wyobrażenie i nie rad widzi się niższym od kogoś, zwłaszcza jeżeli ten ktoś wyższością swoją pluje mu w oczy. Jakiejże to znakomitości, a obok tego jakiego daru jednania sobie serc potrzeba, aby być postawionym na piedestale i uznanym głośno za wyższość; a p. radca ni ztąd, ni zowąd miał tę pretensyą. Ponieważ zaś tak być w żaden sposób nie mogło, więc dla zadowolenia miłości własnej, wmawiał w siebie, że tak jest. Jednego tylko nie przypuszczał nawet w formie najodleglejszej hipotezy, to jest, że był śmiesznym i że to o sobie rozumienie uczyniło go rodzajem pedanta nieznośnego w obcowaniu; bo chociaż wszyscy znajdowali go zabawnym, to przecież nie wypadało się śmiać z człowieka, co... mógł był zostać hrabią.

Drugim punktem, na który nie chciał się zapatrywać tak jak należało, była kwestya przyczyn, sprowadzających nieład i upadek w jego gospodarstwie. Pan radca był rzeczywiście dosyć wysoko wykształcony, chociaż nie tyle znowu, jak sam sobie przyznawał. W młodości odbył podróż w celu naukowym i zwiedził najsławniejsze gospodarstwa zagraniczne, zkąd wywiózł wiele wiadomości i mnóstwo notat. Ale jakże z nich skorzystał? Pisał artykuły do pism rolniczych, a nie byłby w stanie powiedzieć, co się dzieje w jego własnem gospodarstwie; znał zasady agronomiczne, a nie umiał ich zastosować w praktyce; wiedział ile ziarn nieomal każdego zboża wysiewa się na mórg, a ślepym był na to, że przy każdym siewie kradną go niemiłosiernie, urągając najbezczelniej nauce; gdy zaś rozbierał w «Rocznikach gospodarstwa krajowego» kwestyą żywienia inwentarza, woły jego własne drągami podnosić musiano. Gospodarstwo tedy p. radcy pomimo wykształcenia, szło jak najgorzej, a w czem tego przyczyna? otóż w tej właśnie chorobliwej przesadzie wyobrażeń, która często u nas

pojęcie najczystsze zaraża i mąci. Jest w naszym języku, niewiedzieć dlaczego, zaaklimatyzowane przysłowie? «Stań się k... na lat kilka, a zrobisz majątek.» Przysłowie to w ustach wielu stało się bronią obosieczną, wyrazem dwulicowej jakiejś filozofii, która jeżeli z jednej strony potępia to, co w istocie godne potępienia, to częściej za to jest wymówką lenistwa, zbytków i zaniedbania obowiązków, prześladowaniem ducha pracy i oszędności. Jak tu szlachcicowi stać się... czterema literami...—nie sposób? Wszakże przysłowia są mądrością narodów, a te które przytoczyłem, tem łatwiej trafia do przekonania, że ma machiawelskie znaczenie. Ztąd wielu co nie tak wierzy, wolą stracić majątek, aniżeli go się dorobić, a to wszystko dlatego, aby ich nie posądzono, że zostali... tem, czem mogą zostać kiedyś, z powodów zupełnie innych. Nie przesądzę wiele, utrzymując, że to nieszczęsne przysłowie stało się przyczyną upadku większej części fortun szlacheckich. Wierzył w nie także i p. radca, a wierzył po swojemu, to jest do fanatyzmu; bez względów zatem, że w interesach stał źle, robił wszelkie możliwe wysiłki na utrzymanie reprezentacyi odpowiedniej, nie majątkowi, lecz stanowisku... na nieszczęście urojonemu.

Takim był p. Góronowski, do którego domu jechał Zefirek, kołyszący się w najlepszej wierze marzeniami... czy podobnemi do ziszczenia? wątpię, aby wierzył w to czytelnik, urobiwszy sobie postać ojca panny Olimpii, podług tych kilku słów, jakie o nim powiedziałem.

Nie będę opisywał przyjęcia i zabawy tego wieczoru; opis ten byłby tak nudny, jak dom i towarzystwo państwa Góronowskich, które, jak usilnie starał się o to pan radca, miały swoją indywidualną barwę, odpowiednią jego przekonaniom. Następstwem tej indywidualności były nieznośne nudy dla gościa, przymuszonego słuchać nieskończonych waryacyj, śpiewanych wiecznie na jeden temat, którym było własne *ja* gospodarza domu. To *ja* stawało się osią rozmowy, w ciągu której trzeba było dowiedzieć się koniecznie, a jeżeli się wiedziało, to usłyszeć powtórzone dla pamięci, jako rodzina p. radcy już w XVI. wieku znaczyła wiele w swoim powiecie, jako każdy z jej członków był człowiekiem wyższym, bo słabości nie znano w tym domu... prerogatywa, którą we krwi odziedziczył p. radca, mąż bardzo uczony, znający na palcach historyą i wszystkie systematy filozoficzne, na gospodarstwo rolne zapatrujący się z nader wysokiego stanowiska, wreszcie człowiek, który o włos nie został hrabią. Wszystko to, na podziw zręcznie, nawiasowo wtrącał w rozmowę, skutkiem czego gość przestawał się dziwić ślepemu fanatyzmowi jego dla tradycji i wstrętowi do wszelkich idei nowatorskich, dowiadywał się niechcący szczegółów, którychby nie wyczytał w żadnej kronice ani rozprawie historycznej, wreszcie przekonywał się dowodnie, że przyczyna lichego gospodarstwa, jakie biło w oczy dziurawemi dachami i chudemi inwentarzami, leżała po za obrębem nieznajomości rzeczy, pochodziła bowiem z materyalnej niemożności p. radcy, a głównie z nieszczęśliwych okoliczności.

Na wzór gospodarza domu, siłą despotycznej jego woli, bo tacy ludzie są zawsze despotami, urobiona była jego żona i córka, można się więc domyślić, że ta barwa domowa oddziałała bardzo niefortunnie na Zefirka; czuł się przygniecionym, zmagnetyzowanym tem przyjęciem, pełnem protekcyonalnej godności. W obec tego *szyku* prawdziwie majestatycznego, ujrzał się nader maleńkim ze swoim *szykiem* warszawskim. Ale cóż z tego wynikło? oto, że p. radca zyskał jeden głos więcej przeciwko sobie, co jak na człowieka wyższego, za jakiego chciał uchodzić, przyznajmy, było bardzo niezręczne. Ale bo też wyższość prawdziwa byłaby się starała przygarnąć i podnieść do siebie człowieka nawet tak maluczkiego jak Zefirek, a zetknięcie to, wywyższając go w własnem przekonaniu, musiałoby wpłynąć nań moralnie... Pan radca zaś, bolejąc ustawicznie nad rozdziałem opinii i brakiem uznania prerogatyw jego kasty, własną ręką powiększał przepaść dzielącą ludzkość na obozy: prawy katolik, bo przepisów swej wiary trzymał się gorliwie, działał wbrew najpiękniejszej zasadzie chrystyanizmu — miłujcie jedni drugich.

Jak o tem wszystkiem myślał Zefirek, nie wiem; ale w rezultacie wypadło, że gdy po herbatce okraszonej jakąś lekką kolacyjką, w której było więcej zastawy niż przyprawy, wyjechaliśmy z Kozłowej Woli, Zefirek dał mi w kilku słowach do zrozumienia, że mu się ten dom nie podobał i najmniejszej niema ochoty do ponowienia odwiedzin i znajdowania się w towarzystwie, z którego nie mógł był wiele korzystać, gdyby chciano tego.

Drugą wynikłością naszej wizyty, była chęć Zefirka poznania bliżej panien Wydzierkowskich, które spodziewał się znaleść daleko przystępniejszemi niż panna Olimpija. Męczył mnie ustawicznie przez kilka dni, ażeby z nim jechać do Piliszkowa; nie bywałem tam oficyalnie, dla powodów, które czytelnik zrozumie, gdy go zapoznam bliżej z tym domem; ale tak mnie znudził swojem naprzykrzaniem się, że postanowiłem wreszcie zawieść go raz, aby potem mógł sobie, gdyby mu się podobało, bywać bezemnie.

O rodzinie Wydzierkowskich niewiele mam do powiedzenia. Jej głowa, p. Fabian, był onego czasu nauczycielem wiejskim, vulgo bakałarzem i zastępcą wójta gminy w majątku jednego z moich krewnych. Następnie ożeniwszy się z panną Tuzinkiewiczówną, osobą wątpliwych kolligacyj i wychowaną gdzieś za piecem, lecz mającą kilka tysięcy złotych posagu, został aktualnym wójtem. Jakiemi sposobami, korzystając z tej posady i kapitaliku żony, robił pieniądze, kroniki trzebaby pisać; tyle powiem, że w mętnej wodzie łowiąc, dorobił się nadspodziewanie. Nie rzucając wójtowstwa, wziął dzierżawkę niewielką, później większą, wreszcie na krótko przed r. 1859 dochrapał się już dziedzictwa Piliszkowa. Dewizą było jego przysłowie: «co na placu to nieprzyjaciel», a za zasadę w postępowaniu: drzeć łyka gdzie się da i ze wszystkiego ciągnąć korzyści, bez względu na środki.

W papierach pozostałych po moim krewnym, w którego majątku jako nauczyciel i wójt gminy rozpoczął p. Wydzierkowski swoją karyerę, znalazłem list jego własnoręczny, dający doskonałą miarę kwalifikacyi p. Fabiana na te oba urzędy. Był to rodzaj prożby, pisanej wkrótce widać po ożenieniu się p. zastępcy jeszcze naówczas wójta, w ktorej prosił o protekcyą mojego krewnego. Mówił w tem piśmie między innemi, że «lubo *dopełnił stan małżeński*» dnia tego a tego, w obawie jest atoli, aby swej i siebie «*przez brak potrzeb*» w nędzę nie wprowadził». Albowiem nie miał nic przeciwko posadzie nauczyciela, która «*widziała mu się nie najgorszą*», tylko «*jej pensyą uważał za niedostateczną*». Pragnąc więc zapewnić sobnie «*większy sposób na utrzymanie*». uprasza! dziedzica, aby ten raczył *pełniące mu* natenczas obowiązki wójta gminy łaskawie powierzyć. «Nie mając nic więcej w duchu» dodawał «jak tylko stać się dogodnym i posłusznym osobie j. w. pana, oraz zasłużyć na wiarę i dobrą opinią.» Ponieważ zaś chodziło mu o to, aby mieszkał w drugiej wsi, także do krewnego mego należącej i ludniejszej, gdzieby nie był tak na oku, w ten sposób zakończył: «Nadmienić i to ośmielam się, że z Topoli do Topólki dla załatwienia interesów trudno byłoby w moment uczęszczać, gdyż jest dużo do pracy... Jeżeli więc łaska j. w. pana dozwoli mi *działanie* pomienionego obowiązku, naówczas i propinacya w Topoli lepszy skutek odebrać będzie mogła, bo każdy człowiek, któryby mógł mieć interes do mnie, niezawodnie do karczmy wstąpiłby. Racz więc j. w. pan mieć litość nademną i opiekę... bo nie *na tym celu* dopraszam się, abym czynił jakie szacherki, jedynie tylko za sprawiedliwością na stosowne utrzymanie»...

Pomijając już błędy gramatyczne, nie do darowania nauczycielowi, logika tego listu, a przytem drażliwość w przewidywaniu ewentualnych posądzeń, nie przemawiała zbytecznie za moralnością przyszłego wójta. Bez komentarzy zatem, dokument ten może być uważany za materyał do jego historyografii. Oboje państwo Wydzierkowscy dobrali się pod względem zgodności pojęć, a tak byli znani z chciwiści swej i skąpstwa, że gdy raz byłego wójta, a natenczas już dziedzica, spotkała ze strony kogoś oszukanego przezeń haniebna obelga, jaka tylko krwią zmyć się daje, żyd jeden z pobliskiego miasteczka, znany dowcipniś, odezwał się, gdy robiono wnioski o następstwach tego wypadku: «Ny, oni takie skąpe, że i to schowają».

Jednego dnia tedy pojechaliśmy do Piliszkowa. Rezydencyą pp. Wydzierkowskich stanowił domek, a raczej chałupa stara, zapadła, z oknami pod samą ziemią, przerobiona na dwór ze starej kuchni, bo mieszkanie dawnych dziedziców zniszczył był ogień przed dwoma laty. Stanęliśmy tam przed wieczorem. Dojeżdżając, spostrzegliśmy zdaleka, jak pan domu na pół ubrany, w słomianym kapeluszu i kitlu płóciennym uciekał na nasz widok do gumieu, i jednocześnie gdyśmy zajechali, wpadł od tyłu przez kuchnię do domu.

Nikt nie wystąpił na nasze spotkanie; weszliśmy przeto sami do niskiej, brudnej sieni, a ztamtąd do pokoju reprezentującego salon. Wszedłszy, usłyszeliśmy w drugiej izbie zgiełk, na który składały się głosy, pana, pani i panienek. O ile z kilku słów mogliśmy wnosić, kobiety żądały, aby gospodarz domu przebrał się czemprędzej i wyszedł do nas. Pan domu odmrukiwał coś, a po między innemi doszły naszych uszów wyrazy niezbyt dla nas pochlebne.

— Dla tych paru głupich osób tyle ambarasu! — mówił Wydzierkowski, nie kontent widać, że musiał odstąpić stodół, do których zwożono pszenicę.

Zefirek skrzywił się, a ja parsknąłem śmiechem, bez względu, żem mógł być słyszany.

Czekając cierpliwie nim ktoś nadejdzie, rozglądaliśmy się po *salonie*. Pomijając niesmaczne upiększenia w postaci patarafek i profitek z angielskiej bibuły, pawich piór po komodach, dwóch daguerotypów na ścianie zakrawających na blaszane lusterka, bo nic na nich widać nie było, wreszcie zwierciadła w pozłacanych, zapstrzonych przez muchy ramach, powtórnie karykaturujące odbijające się w nich rysy; dwa dzieła sztuki uderzały każdego i wzbudzały podziw uwielbienia. Jednem była ogromna donica stojąca na podłodze, napełniona ziemią, w której utkwiony był wielki jakiś kwiat czy drzewo fantastyczne, z kolorowego papieru. Na gałęziach tej zagadkowej rośliny siedziało kilkanaście ptaków rozmaitej wielkości, ulepionych z gliny czy z ciasta, przystrojonych w pióra najrozmaiciej pofarbowane. Tworzyło to zbiór ornitologiczny jedyny w swoim rodzaju, a było dziełem nadobnych rączek i świętej cierpliwości Fisi i Nasi.

Drugą osobliwością był na honorowem miejscu wiszący obraz, pędzla jakiegoś widać wędrownego malarza szyldów, wyobrażający czupiradło płci żeńskiej, z tak pociesznym wyrazem, że niepodobna było, spojrzawszy nań, nie śmiać się. Obraz ten uderzał zwykle każdego, kto wchodził do tego pokoju, a na zapytanie co to jest, p. Wydzierkowski odpowiadał z pewną dumą:

— To jest *lanszaft* mojej ciotki.

Rzeczywiście był to portret stryjecznej siostry jego matki, która po rozmaitych kolejach burzliwego żywota, poszła za mąż za jakiegoś wojskowego i tytułowano ją panią kapitanową.

Po długiem oczekiwaniu, podczas którego zmęczyłem się oganianiem od much, których mnogość i natarczywość przechodziła wyobrażenie, wyszedł nareszcie do nas pan domu, widocznie wypchnięty przez kobiety, bo dopinał jeszcze kamizelki, a drzwi zatrzasnęła za nim jakaś niewidzialna ręka.

Po zapoznaniu go z Zefirkiem i półgodzinnem zamienianiu jednosylabowych uwag o pogodzie, żniwach, wreszcie protestacyi mojej przeciwko muchom, które mnie już do wściekłości doprowadzały, drzwi się otworzyły i weszły panie.

Gospodyni domu wystrojona była tak pretensyonalnie, że obejrzałem się mimowoli na ścianę, czy nie zstąpiła z *lanszaftu* ciotka p. Fabiana; toalety panien nie grzeszyły także zbytkiem smaku. Po przywitaniach, prezentacyach, ukłonach i dygach wzajemnych, zaczęła się rozmowa. Żałuję bardzo, że nie mógłem jej stenografować; zapamiętałem wszakże urywek, który, jako miarę całości, przytoczę.

— Pan przyjechał z Warszawy? — spytała pani, zwracając się do Zefirka.

— Tak jest, pani dobrodziejko.

— Niezawodnie *kolejom*.

— Koleją do Łowicza.

— My także raz jechałyśmy koleją — odezwała się Fisia.

— Śliczna jazda! — dodała Nasia z rodzajem extazy.

— Nic się *panu* nie bojały — rzekła matka. Ja, bo się bo jałam, o mało nie dostałam *apoklepsyi*. Do tego zła byłam okropnie na męża: jak wziął *panu* marudzić na popasach i noclegach, tak bez to spóźnilim się do Łowicza. Jakiem weszła na *weksel* akurat *lekotywa* odeszła. Mąż woła: panie *kolektor!* panie kolektor! ale gdzie tam! nie chcieli *panu* stanąć.

Użyłem całej siły, żeby zachować się seryo, Zefirek zaś osłupiał. Nie zbyt obeznany z kolejami, nie mógł odrazu wpaść na myśl, że była mowa o foksalu, lokomotywie i konduktorze.

W tej chwili drzwi otworzyły się i brudna, bosa dziewka wniosła na tacy butelkę wina, trzy kieliszki i dwa talerzyki, z których na jednym coś nakształt gruszek osmażanych w miodzie, na drugim miałki cukier. Dziewka, postawiwszy ostrożnie tacę na stole przed kanapą, uciekła, jakby ją kto gonił, dudniąc piętami po podłodze, aż się meble trzęsły.

Gospodarz nalał kieliszki i wziąwszy jeden trącił w nasze, mówiąc:

— Zdrowie panów dobrodziejów!

Idąc za jego przykładem, przytknęliśmy kieliszki do ust, ale jednocześnie zmuszeni byliśmy skrzywić się i postawić je napowrót na stole; i wtenczas domyśliłem się jasno przeznaczenia cukru, którego przyznam się odgadnąć zrazu nie mogłem.

Spostrzegła to czujna pani gospodyni.

— A może panowie cukru. Mężu, podaj.

Ale o dziwo, cukier znikł, tak się przynajmniej na pierwszy rzut oka zdawało; atoli za bliższem zbadaniem rzeczy okazało się, że zgłodniałe muchy tak obsiadły talerzyk, iż na czarnej tacy nie widać było. Gospodarz zręcznem machnięciem dłoni złapał całą garść naprzykrzonego owadu, drugą zaś ręką podał nam oswobodzony tym sposobem cukier, mówiąc:

— Niechże panowie będą łaskawi.

Podziękowaliśmy skwapliwie i aby dowieść, że wino nie jest tak złe, wysączyliśmy po parę kropel obmierzłego kwasu.

Wówczas sama gospodyni domu wzięła talerzyk z gruszkami, na których. pomimo odegnania, pozostało parę much przylepionych za łapki i poczęstowała nas tym specyałem, wyrobu Fisi i Nasi.

Broniłem się się z uporem rozpaczy i ledwie mi się udało. Zefirek nie miał tyle odwagi cywilnej; przyjął najpiękniejszy egzemplarz, który mu pani własnemi rączkami wybrała i z rezygnacyą zanurzył w nim zęby. Ale ukarany za to został, bo nagryzłszy do połowy, nie wiedział co dalej robić: zęby mu uwięzły — nie mógł ich wydobyć, a dalej zatopić nie śmiał, bo czuł już w nich

łupanie. Szczęściem w tej chwili zagadnęła go pani domu, zapytując jak mu smakuje i to dopiero zniewoliło go do energiczniejszego użycia szczęki.

Wlokła się jeszcze jakiś czas rozmowa, przy akompaniamencie brzęczenia i gonienia much, z której dowiedzieliśmy się między innemi, że wszystkie trzy panie były niedawno w Prusach za kartami (mieszkali bowiem o milę tylko od granicy) i przewiozły przy sobie, szczególniejszym sposobem, nie kwalifikującym się do powtórzenia, cały serwis *porcyneli*, której próbki mieliśmy na tacy, w postaci talerzyków, oraz że od pewnego czasu zaczęli potrochu zarzucać świece łojowe, używając natomiast *suterynowych* nie potrzebujących *ucierania*. Dowiedziawszy się tych ważnych szczegółów, uznałem za stosowne zabrać się do odwrotu. Dałem przeto znak Zefirkowi i powstałem, aby się pożegnać; ale nie chciano słyszeć o tem, zatrzymując nas na *arbatę*. Widząc, że się gwałtem wydzieram, jedna z panien, otrzymawszy do ucha jakieś polecenie od matki, wyszła do drugiego pokoju i po chwili wróciła, prowadząc tę samą dziewkę, niosącą dwa lichtarze z zapalonemi świecami. Ponieważ nie było jeszcze tak ciemno, ażeby pokój oświecać, wniosłem stąd, że pani domu chodziło przedewszystkiem o to, aby nas przekonać, że rzeczywiście palą *suterynowe* świece. Jakoż, gdy powtórnie natarczywiej już objawiłem chęć odjzzdu, zatrzymywano nas już tylko czysto dla ceremonii i wydostaliśmy się przecie szczęśliwie.

Pomimo niefortunnego zaprezentowania się rodziny Wydzierkowskich, Zefirek widocznie ukartował sobie plany na którąś z panien, bo unikając przez drogę wszelkich uwag nad przyjęciem jakie nas spotkało, zapytał tylko od niechcenia:

— Po ile też będą miały te panny posagu?

— Po kilkadziesiąt tysięcy.

— Ileż naprzykład... dwadzieścia? trzydzieści?

— Nie wiem, ale zdaje się, że więcej jak po pięćdziesiąt.

— *En gotiuf?* —- zapytał, probując ręką zarostu na wąsach.

— Niewątpliwie.

Zadumał się głęboko, a o pomyślnym wypadku tego wniknięcia w siebie ztąd mogłem wnosić, że nim dojechaliśmy do domu, usłyszałem parę razy:

— Rrrrom tom tom, rom tom tom.....

Przez dwa dni po tej wizycie, Zefirek chodził zamyślony, a trzeciego prosił mnie o konie do Piliszkowa. Pojechał sam i wrócił późno w nocy, wesoły, roztrzpiotany. We dwa dni pojechał drugi raz, a potem znowu wkrótce na urodziny Fisi, uroczyście obchodzone, po których wrócił pijany i jakiś nieswój. Był jeszcze raz czy dwa, słowem wszystkiego pięć czy sześć razy; nareszcie po tem wszystkiem *raptem*, że się wyrażę jego językiem *dał nura*, czyli mówiąc po ludzku, przestał bywać. Na zapytanie moje w żartobliwym tonie uczynione, jak stoją jego interesa w Piliszkowie, skrzywił się i odpowiedział ni to ni owo. Nie wiedziałem co o tem myśleć. Nareszcie, częścią od niego samego, wybadawszy go zręcznie, częścią z boku dowiedziałem się o powodach zerwania, z których główne wymienię.

W czasie uroczystości urodzin, Zefirek podchmielił sobie przy obiedzie, w miłem, chociaż niekoniecznie dobranem towarzystwie, winem podobno lepszem trochę od tego, jakiem nas utraktowano podczas pierwszej wizyty. Podochocona młodzież wyprowadziła dla zabawki jakąś narowistą szkapę, obdarzoną uporem osła i dosiadała ją po kolei, wyprawiając harce, do których i Zefirek, po pijanemu chcący się popisać przed płcią piękną, uwziął się należeć. Gdy przeto kojej przyszła na pana asesora, bo tak go tam nazywano, dosiadł konia, który w uporze miał tę właściwość, że nie chciał iść naprzód, lecz w tył. Jak łatwo było przewidzieć, nie umiał sobie dać z nim rady i przyjechał już ku wielkiemu ukontentowaniu widzów dwa razy podwórze w tym wstecznym kierunku, gdy nareszcie, naciskany przez otaczającą go i krzyczącą młodzież, koń zaczął się cofać w kierunku domu, a mianocie okna, w którem zebrana była żeńska część widzów. Jak już wspomniałem, okna były bardzo niskie, prawie w ziemię zalazłe; koń, cofając się rozpaczliwie, napotkał jedno z nich, a nie znajdując zbytecznego oporu, bo ramy były spruchniałe, wytłoczył je i tylko połową swoją znalazł się w pokoju, z wielkim strachem i zgorszeniem kobiet, które uwzięły się utrzymywać, że p. asesor uczynił to umyślnie. Oprócz tego poprzednio jeszcze Zefirek, już podchmielony w opowiadaniu jakiejś facecyi, będąc zmuszony użyć wyrazu *baba*, w roztargnieniu przeprosił zań gospodynię domu, co ona wzięła za umyślnie uczyniony jej afront. Ale to jeszcze nie wszystko; pragnąc przysłużyć się Fisi, do której szczególny poczuł affekt, obiecał postarać się o przepis robienia dobrych wafli, mających być ozdobą przyjęcia w jej urodziny. Kucharz mój, do którego udał się Zefiirek, dał mu przepis fałszywy, polegający mianowicie na tem, że można pół kopy wafli zrobić na jednem jaju i dwóch łyżkach masła. Pani Wydzierkowska, jako gospodyni oszczędna, uchwyciła się gorąco tego przepisu, ale wafle na nic się nie zdały i spompromitowały całe przyjęcie.

Te trzy okoliczności zrządziły, że na Zefirka zaczęto spoglądać kwaśno i przymawiano mu delikatnie za następną jego bytnością. Gdy jeszcze, przyjechawszy znowu za parę dni spostrzegł u panien pieska, którego dawniej nie zauważył, nazywającego się tak samo jak on, i gdy Fisia wołała nań po imieniu, tak że pan asesor mimowoli parę razy się obejrzał, myśląc, że woła na niego, wziął to za sobistość i zerwał stanowczo stosunki z domem państwa Wydzierkowskich.

Po tem zerwaniu, przepędzał czas Zefirek w domu, nie wyjeżdżając nigdzie. Spostrzegłem, że wpadła mu w oko siostrzenica żony mojego ekonoma, panna Justyna: zachodził z niechcenia około niej, wybierał się w przechadzkę w tę stronę gdzie ją mógł spotkać i pożyczał jej książek do czytania z mojej biblioteki, czego udawałem, że nie widzę. Wreszcie raz, wyjechawszy konno w pole, spostrzegłem Zefirka, który Justysię powracającą od żniwa, gdzie nosiła wujowi podwieczorek, konwojował do domu, osłaniając od promieni słonecznych parasolem, z którym zawsze chodził. Spostrzegłszy mnie, Justysia odskoczyła od Zefirka, który z miną nader głupią stanął, nie wiedząc czy się śmiać, czy płakać. Nie uważając niby na to wszystko, pojechałem w swoją stronę, a obejrzawszy się parę razy, widziałem naprzód jak Zefirek stał z pięć minut w miejscu pod swoim parasolem, nie pewny co robić, następnie zaś jak pokroczył ku wsi za Justysią, która go już wyprzedziła z paręset kroków.

Ale i ten romans przerwały okoliczności w samym zawiązku. W kilka dni Zefirek zasłabł. Gospodyni moja, kobiecina już w wieku i znająca lekarstwa na wszystkie choroby, poradziła czerwone wino grzane z korzeniami; ale gdy kucharz stanął przed nim ze szklanką tego napoju na tacy, Zefirek konwulsyjnym ruchem odepchnął go ze zgrozą i nie chciał słyszeć o żadnem lekarstwie; gdy zaś sama natura bez innej pomocy przyniosła mu ulgę, tego samego dnia jeszcze zaczął domagać się natarczywie, abym go odesłał do najbliższej stacyi pocztowej, zkąd codziennie odchodziła kuryerka do Łowicza. Wiedząc, że termin urlopu dozwala mu zabawić jeszcze kilka dni, zdziwiony byłem tem żądaniem i prosiłem, ażeby się nie spieszył; nie chciał przecież ani słyszeć o tem i ponowił swoje nalegania. Widząc, że na upór niema lekarstwa, zrobiłem jak życzył, i na drugi dzień rano opuścił mój dom, zostawiając mnie zaintrygowanego niemało tym wyskokiem.

Zagadkę całą wyjaśnił mi dopiero list, przywieziony przez powracającego z poczty fornala. Zefirek pisał między innemi:

«Nie chcąc abyś fałszywie tłumaczył sobie powody mojego postępowania, odkryję ci całą intrygę, której o mało co nie pa-

dłem ofiarą. Czyniąc to, mam na celu nietylko własne usprawiedliwienie się, ale nadto zrobienie ci może ważnej przysługi. Dowiedz się, że masz pod swoim dachem indywiduum, które, sądząc po tem co się mnie przytrafiło, zdolne jest odważyć się na wszystko. Wiadomo. ci może, że kucharz twój Wincenty ma myśl żenienia się z panną Justyną, siostrzenicą twojej ekonomowej. Co do mnie, nie wiedziałem o tem bynajmniej; ale jegomości temu uroiło się, że włażę mu w drogę. I czy wiesz co zamierzył?.. dowiedziałem się wszystkiego z boku, przez pewną osobę przychylną mi... oto otruć mię! Uwierzyłem temu bardzo snadno, bo komuż łatwiej dokonać podobnej zemsty bezkarnie, jak kucharzowi, a nadto przypomniałem sobie, że parę razy, gdy Tomasz był na polowaniu, a Wincenty obnosił potrawy, zwracał półmisek ku mnie w szczególny sposób, zachwalając mi pewne kąski. Przypisywałem to naówczas dobrej dla mnie chęci tego potwora!.. Ale Opatrzność czuwała nademną. Bądź jak bądź, pojmujesz, że narażać się dobrowolnie na podobne niebezpieczeństwo, którego już raz zaledwie uniknąłem, byłoby z mojej strony szaleństwem».

Nie mogłem doczytać tego listu bez śmiechu, tak serdecznie mię rozweselił. Domyśliłem się, że służba moja wzięła Zefirka na fundusz, czyli jakby on się sam wyraził, na *łapę* i *użyła go* najbezczelniej; jakkolwiekbądź jednak, byłem zniewolony przyznać mojemu gościowi niezaprzeczone prawo postąpienia sobie tak, jak postąpił i skwitować go z wszelkich pretensyj.

Dla osób, które zainteresowała ta postać, dodać muszę, że w lat parę potem niefortunny konkurent Fisi i amant panny Justyny, ożenił się w Warszawie z córką zamożnego fabrykanta, osobą wykształconą, która przyniosła mu w posagu dom; że stosując się do jej woli, nie porzucił posady, na której dosłużył się pensyi 600 rs. rocznie; że ma obecnie troje dzieci i nie jeździ nigdy na wieś: powtarzając, że każdemu najzdrowiej jest oddychać tem powietrzem, do którego nawykł od dzieciństwa.

HENRYK HEINE.

PORTRET LITERACKI

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

Ciąg dalszy.

Pieśni jego przeszły rzeczywiście niesłychanie szybko w krew narodu niemieckiego. Znaczną ich część podłożono pod muzykę.

Der todte Heinrich Heine singt noch immer.

Zpopielony dawno Heine śpiewa ciągle i śpiewać będzie milionem ust, dopoki plemię germańskie nie zniknie z powierzchni kuli ziemskiej. Tego prawa nie odbierze mu nikt. Udzielił mu go najprawowitszy mocarz, bo jego własny geniusz poetycki.

Lecz i w bujnym kwiecie lęże się robak, a wonny kwiat poezyi heinowskiej nie był nadomiar nigdy zdrowym. Wyrosły z ruin romantyzmu, ścięty w chwili rozwoju szronem bolesnego zawodu w pierwszej, najgorętszej miłości, podlewany jadem zwątpienia, nosił na sobie już od samego początku ślady rychłego rozkładu.

Każda piosnka ma zatruta,
Gorycz wiecznych wspomnień kryje —
Tyś ust tchnieniem swem zatruła
Pierwszych uczuć mych lilie.

Każda piosnka ma zatruta,
Gorycz wieczną wspomnień kryje,
Rączką pieszczot atłasową,
Tyś w me serce wkładła żmiję.

Nie sama tylko niewierna, niestała kochanka «włożyła do jego serca zatrutą gadzinę». Przyniósł on z sobą na świat «beznadziejne przeczenie,» niewidne zrazu z poza różowo-mglistych obsłon dykcyi romantycznej. Lecz od czasu do czasu zapomina poeta o własnych nieszczęściach, a wtedy płaczą struny lutni pod jego dłonią cichutko, jak gdyby opiewały zgon ideałów.

Aus alten Märchen winkt es Hervor mit weisser Hand, Da singt es und da klingt es Von einem Zauberland,	Z mgły bajek, znikłych bez wieści, Falami ku mnie cień płynie... I słodką pieśnią szeleści, O czarodziejskiej krainie,
Wo grosse Blumen schmaehten Im goldenen Abendlicht, Und zärtlich sich betrachten Mit bräutlichem Gesicht.	Gdzie kwitną kwiaty, w ozdobie Wieczystej kwiecia radośnie, I patrzą wzajem ku sobie, Jak kochankowie miłośnie.
Wo alle Bäume sprechen, Und singen wie ein Chor, Und laute Queken brechen Wie Tanzmusik hervor.	Gdzie wonnych gajów palm zwoje, Szepczą natchniony hymn zgodnie; Kędy po górach mkną zdroje, Jak rozdźwięk uczty swobodnie.
Und liebesweisen tönen, Wie du sie nie gehoert, Bis wundersüsses Sehnen Dich wundersüss bethoert!	
Ach koennt ich dort hin nommen, Und dort mein Herz erfreun, Und aller Qual entnommen, Und frei und selig sein!	Tam, wśród błogiego ukrycia — Pragnąłbym spocząć ochotnie I pozabywszy mąk życia, Odetchnąć piersią... samotnie.
Ach! jenes Land der Wonne, Das schau' ich oft im Traum: Doch, kommt die Morgensonne, Zerfliesst's wie eitel Schaum.	Ach! — tę krainę codziennie — Codziennie oglądam te cuda! — I słońce wschodzi promiennie... I z słońcem ginie ułuda.

(tom XV. str. 110).

W żadnej swojej pieśni nie był Heine tak na wskroś romantykiem, jak w powyższej, w żadnej też nie zapowiada tak wyraźnie owego «weltszmercu», będącego w w prostej linii synem «ironii,» jak w tym utworze, utkanym z samych westchnień, tęsknot, szeptów i woni.

Ach! — tę krainę codziennie —
Codzień oglądam te cuda!
I słońce wschodzi promiennie...
I z słońcem ginie ułuda.

Więc ten zaczarowany świat legend i pieśni, te rzewne, serdeczne skargi po miłości idealnej były tylko ułudą, którą słońce białego dnia bez miłosierdzia rozwiewa?

Nie inaczej wierzyli romantycy. I oni, choć upajali się sztuczną wonią jakiegoś wymyślonego «niebieskiego» kwiatu, choć wyciągali ramiona do gwiazdek i do lilij, przeglądających się w falach Gangesu, czuli jednak w sercu swem chłód, a na ustach kłamstwo.

I z słońcem ginie ułuda...

skarżyli się i oni w wszystkich swych pieśniach. Nic dziwnego, że uczeń przejął od swych mistrzów ów rozdźwięk między rzeczywistością a stanem upragnionym.

Lecz ten rozdźwięk był jeszcze szlachetnym pesymizmem, nadchodzącym po każdem naprężeniu umysłów w pewnym kierunku, a Heine wniósł do poezyi niemieckiej jeszcze coś więcej, coś własnego:

Da droben auf jenem Berge,	Na szczycie góry,
Da steht ein feines Schloss,	W zamku struktury
Da wohnen drei schoene Fräulein,	Gotyckiej, mieszka trzy pięknych [pań,
Von den ich Liebe genoss.	Każdej dziewiczy
	Uśmiech, słodyczy,
	Dał mi kosztować różannych ust.
Sonnabend kueste mich Jette,	W czwartek Izora,
Und Sontag die Julia,	Wyszła z wieczora...
Und Montag die Kunigunde	W piątek Marylę ściskałem drżąc..
Die hat mich erdruckt beinah.	W sobotę skrycie
(tom XV. str. 141).	Anna o świcie,
	Ledwie mnie żywcem puściła [z rąk...

To nie jest już «ironia» romantyków, to nie jest już pesymizm epigonów «oświecenia», lecz rys wyłącznie heinowski. Jestto zaród jego późniejszego cynizmu, ukrywającego się prawie niepostrzeżenie wśród bujnych splotów dykcyi romantycznej. Brzydki gad drzemie jeszcze pod górą kwiecia, czasem tylko podniesie głowę, odsłoni oblicze i syknie jadem, choć ostrożnie, tchórzliwie.

Mensch, verspotte nicht den Teufel,	Człeku! nie czyń żartów z dyabła,
Kurz ist ja die Lebensbahn,	Życie krótkie — a spłat czynu
Und die ewige Verdamniss	Złego, wiecznem potępieniem —
Ist kein blosser Poebelwahn.	Nie jest płonną gadką gminu.
Mensch, bezahle deine Schulden,	Człeku oblicz coś zawinił.
Lang ist ja die Lebensbahn,	Życie długie, a sowicie
Und du musst noch manchmal borgen	Można tylko żyć w kredycie —
Wie du es so oft gethan.	Tak jak dotądś nieraz czynił.
(tom XV. str. 152).	

Albo ów wiersz o burzy, spowodowanej «chrapaniem śpiących bogów» (*Eingehüllt in graue Wolken* itd. tom XV. str. 136), albo ów «księżyc, spoczywający na obłokach, jak... olbrzymia pomarańcza» itd. tamże), owe rozmyślne szyderstwa, przyczepione do kilku pieśni z wiązanki p. t.: *Heimkehr* (Mein Herz, mein Herz ist traurig itd. str. 130) i do wspaniałych obrazów: *die Nordsee* (np. w «*Seegespenst*»? tom XV. str. 234... *Doctor, sind Sie des Teufels?*), lub w końcu znany «kaprys» zaczynający się od słów: *Mir träumt, ich bin der liebe Gott* itd. (tom XV. str. 167). to bardzo wymowne ślady cynicznego materyalizmu, odurzonego zrazu i uśpionego narkotycznym oddechem «niebieskiego kwiatu.»

Raz nawet zapomniał się Heine tak dalece (w dodatku do «Intermezza lirycznego»; tom XV. str. 284), że zbezcześcił własną kochankę, którą w tylu opiewał arcydziełach, bo żądał od niej:

Umschling mich mit Armen und Füssen
Und mit dem Geschmeidigen Leib.

Więc nie kochał nigdy sercem, tylko... ciałem? Niestety, jego życie prywatne i późniejsza działalność autorska dowiodły, że tak było.

Wielbiony przez krytyków, pieszczony przez kobiety, psuty przez przyjaciół, a niepokojony wewnętrzną próżnią, rzucił się Heine z całą gwałtownością namiętnego, zmysłowego temperamentu w objęcia «życia», gubiąc po drodze, w nocnych kawiarniach i w domach zabawy kwiat po kwiatku. Ciągłe obcowanie z ulicznicami starło z jego serca ów puch dziewiczości, który uduchownił w «Księdze pieśni», jego cielesną w istocie miłość, zasłoniwszy ją różową gazą przed okiem mniej uważnego czytelnika.

Już w pieśniach, napisanych między rokiem 1828—1831 («*Neuer Frühling*»; tom XVI. od str. 141—163) rzuca Heine tu i owdzie maskę romantyczną, swe własne ukazując oblicze. Zdradza on w prologu do tej wiązanki swą lekkomyślność i obojętność dla spraw społecznych i politycznych, choć zaczął właśnie w tym czasie udawać reformatora.

Ich Gemälde-Galerien	W galeryach dawnych lat Pom- [padury,
Siehst du oft das Bild des Manns,	Widujem nieraz postać rycerza
Der zum Kampfe wollte ziehen,	W chwili przed bitwą—gdy miecz [przymierza,
Wohlbewehrt mit Schild und Lanz.	Przywdziewa pancerz i szyszak [z pióry.
Doch ihn necken Amoretten,	Wtem go amorków zgraja skrzy- [dlata
Rauben Lanze ihm und Schwert.	Opada wabiąc widokiem śpiewu,
Binden ihn mit Blumenketten,	Unosi tarczę i mimo gniewu,
Wie er auch sich mürrich wehrt.	Pierś mu różannym wieńcem oplata.
So in holden Hindernissen	Tak i ja sercem dążę w zawody
Wind' ich mich mit Lust und Leid,	Wbrew żądzy, złudzeń snem roz- [marzony —
Während andere kaempfen muessen,	Pątrząc bezczynnie, gdy serc mi- [liony
In dem grossen Kampf der Zeit.	Walczą o sztandar ludów swobo-
(tom XV. str. 141).	[dy.

Po raz pierwszy to wyspowiadał się Heine tak szczerze, rozkrywając całą czczość swej zmysłowej natury. «Patrzał on rzeczywiście bezczynnie, gdy serc miliony walczyły o sztandar ludów swobody,» choć żądał głośno, aby miecz na trumnie jego złożono. Patrzał bezczynnie i bawił się, dopóki mu zdrowie służyło, zapominając przy pierwszej z brzegu ładnej buzi o «wielkiej swego czasu walce.»

Niezwykle szybko stacza się teraz w przepaść zgnilizny moralnej. Zasmakowawszy w Paryżu w rafinowanych rozkoszach miłości cielesnej, odtrąca z pogardą cały aparat romantyczny, szydzi z zachwytów swej młodości, bryzga błotem na wszystko, co jeszcze niedawno zdawał się gorąco miłować.

W pieśniach, napisanych nad Sekwaną między r. 1832—1839, nie jest już romantykiem, lecz tylko... sobą, nowym, oryginalnym poetą. O, tak, bardzo, bardzo... oryginalnym.

Auf diesem Felsen Bauen wir
Die Kirche von dem dritten,
Dem dritten, neuen Testament;
Das Leid ist ausgelitten.

Vernichtet ist das Zweierlei,
Das uns so lang bethöret;
Die dummen Liebequaelerei
Hat endlich aufgeheoret.

Hoerst du den Gott im finstern Meer?
Mit tausend Stimmen spricht er.

Und siehst du ueber unserm Haupt
Dio tausend Gotteslichter?

Der heilige Gott, der ist im Licht
Wie in der Finsternissen;
Und Gott ist alles, was da ist;
Er ist in unseren Kuessen.
(tom XVI. str. 171).

«Na tej skale wystawimy kosciół trzeciego, nowego testamentu, bo skończyło się wszelkie cierpienie. Skończył się dualizm, który nas długo łudził, skończyła się głupia męczarnia ciała. Czy słyszysz Boga w ponurem morzu, czy widzisz nad głowami naszemi tysiące świateł boskich? Święty Bog znajduje się wszędzie, tak w blaskach, jak i w ciemnościach. Jest on wszystkiem, co jest. Płonie on i w naszych pocałunkach.»

Oto wielka idea, oto... ów trzeci kościół, którego ewangielię głosił Heine w wieku męzkim, dojrzałym. Tylko na płaski panteizm i ordynaryjny materyalizm umiał się «reformator» zdobyć, gdy uciekł ze szkoły romantyków.

Dla niego samego «płonął Bóg przez całe życie w różnych pocałunkach;» był on gorliwym kapłanem «pięknego ciała», dopóki go ta «religia» nie powaliła na ziemię, jak spróchniałe, zgniłe drzewo. A nawet na łożu boleści przypominał sobie od czasu do czasu «trzeci kościół», a wtedy drwił z własnej niemocy z humorem człowieka, który niema już nic do stracenia.

Des Weibes Leib ist ein Gedicht,
Das Gott der Herr geschrieben
In's grosse Stammbuch der Natur,
Als ihn der Geist getrieben.

Ja, günstig war die Stunde ihm,
Der Gott war hochbegeistert;
Er hat den spröden rebellischen Stoff
Ganz kuenstlerisch bemeistert.

Fuerwahr, der Leib des Weibes ist
Das hohe Lied der Lieder;
Gar wunderbare Strofen sind
Die schlanken, weissen Glieder.

O welche göttliche Idee,
Ist dieser Hals, der blanke,
Worauf sich wiegt der kleine Kopf,
Der lockige Hauptgedanke!

Der Bruestchen Rosenknospen sind
Epigramatisch gefeilet;
Unsänglich entzueckend ist die Cäsur,
Die streng den Busen theilet.

Den plastischen Schöpfer offenbart
Der Huepfiten Parallele;
Der Zwischensatz mit dem Feigenblatt
Ist auch eine schöne Stelle.

Das ist kein abstracktes Begriffspöm!
Das Lied hat Fleisch und Rippen,
Hat Hand und Fuss; es lacht und küsst
Mit schöngereimten Lippen.

Hier athmet wahre Poesie!
Anmuth in jener Wendung!
Und auf der Stirne trägt das Lied
Den Stempel der Vollendung.

Lobsingen will ich dir, o Herr,
Und dich im Staub anbeten!
Wir sind nur Stuemper gegen dich,
Den himmlischen Poeten.

Versenken will ich mich, o Herr,
In deines Liedes Prächten;
Ich widme seinem Studium
Den Tag mit sammt den Nächten.

Ja, Tag und Nacht studier' ich dran,
Will keine Zeit verlieren,
Die Beine werden mir so dünn —
Das kommt vom vielen Studieren.
(tom XVIII. str. 264).

W pieśni tej, napisanej krótko przed śmiercią (między r. 1853—1855; *Letzte Gedichte*), a nazwanej... «pieśnią nad pieśniami» (*Das Hohelied*), zadziwia nietylko niezwykłe mistrzowstwo formy i siła dykcyi: lecz także niesłychany cynizm, chełpiący się własną nagością.

Heine nie mylił się. Poemat ten jest rzeczywiście *jego* «pieśnią nad pieśniami,» bo on to uwielbiał przez całe życie tylko ciało kobiety tylko... mięso, ową *chair* współczesnych naturalistów francuzkich. Z rozmarzonych, powiewnych żalów «Księgi pieśni» wyzierają wszędzie, różowe usta, zaokrąglone ramiona i biodra itd. Widzi je uważny spostrzegacz... Studyował on rzeczywiście tę «pieśń nad pieśniami» dniem i nocą, jak się wyraża, o czem świadczą jego plugawe ramoty, napisane w Paryżu między rokiem 1832—39 (*Verschiedene*) a opiewające wdzięki: Serafin, Anieli, Dian, Hortensyj, Klarys i całej galeryi nadobnych kapłanek «trzeciego zakonu».

Ja, freilich, du bist mein Ideal,
Hab's dir ja oft bekräftigt
Mit Kuessen und Eiden sondern Zahl;
Doch Heute bin ich beschäftigt.

Kom morgen zwischen zwei und drei,
Dann sollen neue Flammen
Bewähren neue Schmärmerei;
Wir essen nachher zusammen.
(tom XVI. str. 181).

Albo:

Schaff mich nicht ab, wenn auch den Durst
Gelöscht der holde Trunk;
Behalt mich noch ein Vierteljahr,
Dann hab ich auch genung.

Kannst du nicht mehr Geliebte sein,
Sei Freudin mir sodann;
Hat man die Liebe durchgeliebt,
Fänht man die Freundschaft an.
(tom XVI. str. 182).

Któż poznałby w tych obrzydliwych cynizmach autora« Księgi pieśni»? To nie przemawia już poeta, kochanek muz, mocarz słowa i czarodziej, zamieniający westchnienie na wiersze i na odwrót, lecz wytarty, zszarzany sybaryta, walający się w błocie, gdy mu... «nogi ścieniały wskutek zbyt gorliwych studyów.»

Doszło w końcu do tego, że ten sam mistrz, który uświetnił miłość w kilkudziesięciu arcydziełach lirycznych, daje o niej w przystępie złego humoru poniższe określenie:

Du fragst mich Kind, was Liebe ist?
Ein Stern in einem Haufen Mist.
Wie'n reudiger Hund, der verrecket,
So liegt er mit Unrath bedecket,
Es kräht der Hahn, die Sau sie grunzt,
Im Kothe wälzt sich ihre Brunst.
(tom XVI. str. 246).

Język polski splamiłby się przekładem takiego brudu...

Nietylko rozkład ciała, ale i talentu Heine'go dowiódł smutnej skuteczności jego «trzeciej ewangelii», którą pragnął ród ludzki uszczęśliwić. Wielki pieśniarz, władca serc, despota w krainie uczuć, bawi w końcu czytelników przedrzeźnianiem swego własnego nieszczęścia, jak klown cyrkowy, który musi widzów rozśmieszać, choćby serce jego drgało w kleszczach niewymownego cierpienia. Nawet Grabbe, ordynaryjny bluźnierca romantyzmu, nie spadł tak nizko; nawet Hoffmann, nałogowy pijak, nie zapomniał o wysokiej godności pisarza narodowego.

A Heine nie umiał się utrzymać na stanowisku słynnego poety, nikczemniejąc, zamiast się uszlachetniać, schodząc na dół po drabinie natchnienia, szczebel po szczeblu, zamiast wzlatać wyżej, coraz wyżej. Wszystkie jego pieśni liryczne, napisane po roku 1834, nie zasługują na pamięć, choć się tu i owdzie jeszcze stary mistrz odzywa, zachwycający wdziękiem formy i olśniewający oryginalnością wyrażenia. Taka «Pieśń nad pieśniami», oddychająca cynizmem, jest mimo to bez wątpienia arcydziełem.

Nie zasługują na pamięć, bo zachwycanie wdziękiem formy i olśniewanie oryginalnością wyrażenia nie było nigdy przednim celem poezyi. «Poezya powinna działać, jak religia» — orzekł słusznie jeden z pierwszych krytyków Heine'go («*Schm*»). Jak chrześciaństwo, powinna i poezya zabliźniać rany serca, a dźwigać, podnosić i uspokajać rozdarte umysły. Wolno jej opiewać najgwałtowniejsze namiętności, wolno jej szumieć, wichrzyć, skarżyć się i rozpaczać, ale i najwięcej gorzkie żale powinny się w końcu harmonijnie wypłakać, łagodząc wszelkie cierpienia, rozwiewając najcięższe smutki, godząc człowieka z Bogiem, z ludźmi, i z sobą samym. Przeto musi poeta wierzyć koniecznie w celowość świata i ciągłe doskonalenie się rodu człowieczego; przeto musi wyznawać jakąśkolwiek wiarę pozytywną, aby wyobraźnia jego mogła zawinąć do przystani cichej i bezpiecznej, gdy się zmnęczy dalekim lotem ponad wspienionemi falami wzburzonych namiętności. Niema poety bez ideałów ogólno-ludzkich, bez: wiary, nadziei i miłości. Wiedział już o tem Arystoteles, gdy żądał od tragików greckich ukojenia wrażeń i wzruszeń. Bo nie czem innem jest jego «katarsis», jak harmonijnem zlaniem się dodatnich i ujemnych pierwiastków.

Tej ostatecznej harmonii uczuć i myśli szukalibyśmy daremnie nawet w «Księdze pieśni» Heine'go. Już w tym pierwszym wyskoku jego młodego, jeszcze nie zepsutego, niesplamionego rozwiozłem życiem serca, odzywa się prawie wszędzie ów złowrogi rozdźwięk między poetą a poezyą, między rzeczywistością a marzeniem. Jego miłość, choć wyraża się, jak pragnienie sennego widziadła, tak powiewnie, tak uroczo, nie jest uczuciem szlachetnem, kochającem dla samego kochania, oddającem się ufnie, z uległością, lecz zmysłową namiętnością, pożądającą ciągle, aby rzucić oblubienicę, gdy wyssała z ust jej najsłodsze słodycze. W «Księdze pieśni» odgrywają wdzięki cielesne daleko większą rolę, aniżeli zalety serca i umysłu. Już w tej wiązance jest «ciało» kobiety «pieśnią nad pieśniami.» Ponieważ zaś używanie zmysłowe wywołuje bardzo rychło przesyt, a nawet obrzydzenie, przeto składają się usta Heinego już w zaraniu młodości do owego zgniłego uśmiechu, który zeszpecił później tak niefortunnie jego klasyczne zrazu oblicze poetyckie. Dość wymienić jego pierwsze utwory liryczne p. t.: «Cierpienia młodości» (*Junge Leiden*), napisane między r. 1817—1821, mianowicie ósmą fantazyą (*Traumbilder*), zaczynającą się od słów: *Ich kam von meiner Herrin Haus* itd. (tom XV. str. 33). W tem znakomitem zkądinąd dziwactwie przejawia się już cały talent Heine'go do bezwzględnego szyderstwa. Czy może być coś komiczniejszego, lecz zarazem niemilszego nad owe humorystyczne niby opowiadania nieboszczyków, tańczących o północy na cmentarzu?

Lecz młodość, choćby najwięcej sceptyczna, wierzy zawsze bezwiednie w jakieś inne, lepsze światy. Temu pociągowi lat dwudziestu i kilku do idealniejszych poglądów na cele ludzkości i wpływowi romantyzmu na Heine'go, zawdzięcza «Księga pieśni» swę względną szlachetność w tonie i w kolorycie. Materyalizm, bezwyznaniowość i kosmopolityzm, słowem, owe «beznadziejne przeczenie,» które stało się później główną nutą melodyj heinowskich, spoczywa jeszcze w «Księdze pieśni» na samym spodzie, przykryte całą górą westchnień i serdecznych skarg młodzieńczych. Choć się tu i owdzie odezwie, podobne do zgrzytu, sprawionego przeciągnięciem żelaza po gładkiem szkle, nie zwraca jednak czytelnik uwagi na ten dźwięk złowieszczy, odurzony i olśniony szeptem i blaskiem szemrzących pieściwie fal przepięknych wierszów.

Ale czas rozprasza złudzenia pierwszej młodości. Mężowi nie wystarczają już niepochwytne tęsknoty i przeczucia lat dwudziestu; jemu potrzeba wyraźnego, świadomie odczutego celu, jasnej, promiennej gwiazdy przewodniej, aby zmierzał prosto przed siebie, nie potykając się wśród ciernistej drogi pisarza. On musi kochać naród swój, dla którego pracuje, i wierzyć, że trudy jego nie pójdą na marne.

A Heine nie kochał nic, okrom używania, czyli siebie, i nie wierzył w nic, okrom w swój talent, czyli znów w siebie. Boga pogrzebał podług niego Kant, poezyą romantycy, a uduchownienie ludzkości przez chrześciaństwo — on sam. Gdy zabrakło Boga, celowości w stworzeniu, patryotyzmu i natchnienia młodości, zostało tylko ciało i jego rozkosze. A z przesytu, spowodowanego «gorliwem studyowaniem trzeciej ewangelii», wypełzł bezwzględny, brutalny cynizm, jak inaczej być nie mogło. Największy, najrzewniejszy liryk niemiecki stał się najobrzydliwszym cynikiem, gdy go odbiegły bezwiedne zachwyty pierwszej młodości. Wszystkie ujemne strony jego charakteru i umysłu zarysowały się teraz w jego poezyach, uwydatniając się coraz wybitniej w miarę uchodzenia sił fizycznych. Z wszystkich pieśni, napisanych między rokiem 1834 a 1844 wieją wyziewy zgnilizny moralnej i cielesnej. W późniejszych skarży się konający przez lat ośm Heine, lub bawi ludzi niedolą swoją, rozkrywając z niesłychanym cynizmem swą własną nędzę.

Ale kogoż mogły rozczulić potężne miejscami żale (*Lamentationen*, *Lazarus*; tom XVIII. od str. 101—166) niepoprawnego szydercy i lekkomyślnego sybaryty? Ludzie wiedzieli przecież, że chory poeta był sam swej niemocy twórcą. Baw nas lepiej! wołano. A on krzywił się, jęczał, wił się z bólu i udawał pajazza! Patrzcie! Oto jestem niedołężny, jak niemowlę! Ruszyć się nie mogę na łożku bez pomocy służby; wyschła mi miazga ciała w kości pacierzowej, połamane są nogi moje, ociemniałe oczy, bezwładne nerwy. A wszystko to sprawiła miłość—trzecia ewangelia — nowy kościół, którego prawdę głosiłem słowem i czynem. No — śmiejcież się...

Czasem tylko, gdy mu choroba zanadto dokuczyła, załamał ręce i rozpaczał: «dobrą jest śmierć, lecz lepiej byłoby, gdyby nas matka nie była nigdy na świat wydała.«

Der Tod ist gut, doch besser wär's,
Die Mutter hätt' uns nie geboren.
(tom XVIII. str. 230).

Lub przypomniał sobie Pana Panów i błagał: «O, Boże, skróć męczarnie, aby mnie szybko pochowano. Ty wiesz przecież, że nie mam talentu na męczennika.»

O, Gott, verkuerze meine Qual,
Damit mann auch mich bald begrabe!
Du weisst ja, dass ich kein Talent
Zum Martyrthume habe.
(tom XVIII. str. 310).

Daleko częściej jednak bywał złośliwym, zazdrosnym zrzędą, miotającym się na wszystkich, którzy mogli jeszcze... świata używać. Takie ramoty, jak ów ohydny «Testament» (*Vermächtniss*, tom XVIII. str. 165) nie świadczą wcale o dobroci i szlachetności jego serca.

Nawet w pieśniach ludowych i historycznych, pochodzących z drugiej połowy jego twórczości poetyckiej (*Romancero*, od roku 1846—1851; tom XVIII.) nie umiał być już Heine szlachetnym. Któż nie zna owej niesmacznej ramoty pt. «Dwaj rycerze» (*Zwei Ritter*), w której się autor pastwi nad niedolą dwoch Polaków (Krapyliński i Waszlapski) z bezczelnością kantorowicza, pragnącego uchodzić za dowcipnisia?

Żaden poeta nie spadł tak nizko po pierwszych tryumfach młodości, jak Heine; żaden pieśniarz nie przyczynił się tak lekkomyślnie i świadomie zarazem do zaćmienia własnej sławy, jak on.

Całą nieszlachetność swego charakteru, cynizm swego błyskotliwego a mimo to czczego w istocie umysłu złożył Heine w «Epilogu», którym wydawcy zamknęli, jakby na urągowisko, jego poezye.

Unser Grab erwärmt der Ruhm?
Thorenworte! Narrenthum!
Eine bessere Wärme giebt
Eine Kuhmagd, die verliebt
Uns mit dicken Lippen kuesst
Und beträchtlich riecht nach Mist itd.
(Epilog, tom XVIII. str. 324).

Muza liryczna niemców żałowała bezwątpienia niejednokrotnie, że złożyła swe najskrytsze, najdroższe tajemnice w tak niegodne, tak zbrukane dłonie. Lecz któż mógł przeczuwać, że najśpiewniejszy trubadur germański XIX. w. przedzierzgnie się później w najbrutalniejszego cynika swego czasu, że będzie opisywał wszelakie błoto dykcyą, przeznaczoną tylko do określania: woni, marzeń, westchnień, promieni księżycowych, mowy gwiazd i szeptu kwiatów.

Ciąg dalszy nastąpi.

ALBUM POLSKIE.

(XVI. XVII. i XVIII. w.)

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

Czternasta karta.

M. DC. (1600).

Alta cadunt, inflata, crepans
sume facta premuntur,
Disce supercilium deponere
disce timere.
Ante pedes foveam quisquis
sublime minoris.

Vi et virtute.
Thomas Prandziński.

Prądzyńskich niema w Niesieckim, są tylko Prądzeńscy h. Grzymała, z W. Polski.

Piętnasta karta.

Na karcie u gory:

Gottes verlehen muss geschehen.

Herb Prus 2° z trzema strusiemi piórami na hełmie, z tych dwa skrajne pąsowe, średnie białe.

U dołu na karcie:

Daniel Preyss von Dohrn a. 1605 Adij 16 Decembr. in Bresslau.

Preyssów h. Prus nie zna Niesiecki, zapewne pisali się Prusami? później może Pruscy?—Preissowie w Bełzkiem h. Nabram.

Szesnasta karta.

16 (Z) 06.

Herb Korab, akwarellą, nad nim
Jactatus
Terra et Alto.

Laski Stanislaus Sereni ac Potentiss. Poloniae et Suceciae Regis ad Serrest. Electorem Brandeb. legatus. Berlini memoriae ergà.

Stanisław, prawdopodobnie syn Stanisława wdy Sieradzkiego, brata Hieronyma, kasztelan Inowrocławski.

Siedemnasta karta.

Vivit post funera virtus
Tout avec le temps.
W sserossem mem ześmautceni
Pan buoh racz begti me pohesseni.
Des Herrn alles..... nieczytelne....

Herb Rawicz, akwarellą.

Wichkartus Skoch Tschertoreiski, L. 13 a dschertorey scripsit Argenti. 3. Non. Jun. Ad. 1607, mp.

O tych Czertoryjskich czyli Czartoryskich,, bo pisownia nie zawsze bywała ścisłą — h. Rawicz, heraldycy nasi nic nie wiedzą. W ziemi Łomżyńskiej na Czartorij Czartoryscy, którzy się pisali na Elekcji Stan. Augusta, mogliby być niemi, chociaż Niesiecki daje im Lubicz. Czartorya zdaje się być taż sama.

Ośmnasta karta.

Akwarella, ze złoceniami, w ozdobach herb Kościesza.

U góry napis spłowiały zupełnie do niewyczytania.

U dołu:

Pro amore eo quem habui in Nobilem ac Generosum Dnum Johannem Christophorum a Ruestorff equ. Stephanus Boleslaus Maykowsky Nobilis lituanus lubans haec meam..... (starte) Die 13 Decembr. Jngolstadi.

Maykowskich w Niesieckim niema.

Dziewiętnasta karta.

16. Sperabo 17.

Sic me biramis praesidio scaphae
Tutum, per Aegios tumultus
Aurafere geminusq Pollux.
Calando Poggiando. Benovoli L. M. I.

Daniel Naborowski Illustrissimi Principis Janussi Radzivili p. tempore aulae Pfectus Francforti ad Viad. v. Cal. April.

Naborowskich tych, jako dyssydentów opuścił Niesiecki. Na dworze Radziwiłłowskim znani byli i gorliwi sekciarze. Daniel, który się tu podpisał, z ks. Januszem jeździł za granicę do Ba-

zylei i Genewy i otrzymał stopień doktora medycyny. Pisał poezye polskie i łacińskie. Byli szlachtą h. Lubicz z odmianą.

Dwudziesta karta.

16 — SPERABO — 17.

Wann ich möcht haben ein Eysen hüt
Der mir für lügen war gut
Und einen Schildt auch Gott für schelten
Den wolt ich theurer gnug vergerlten.

Herb Lubicz kolorowy, z tą odmianą, że na hełmie czarne orle skrzydło zamiast piór strusich.

Dieses habe ich Daniel Naborowski von Naborow fürstlicher Radziwilischer Hoffmarschalk dem Herrn Gerardt Reutern zu Stottswerender gedachtniss geschrieben zu Frankfort an der Oder.

Alchimia pronadq. Tener restas y no guastar nadq. (sic).

Dwudziesta pierwsza karta.

Ingenio et arte.

Christophorus Sapelius Serenissimi Regis polon. physicus.

Amicitiam quam hoc scribendo profitetur reddi sibi ab eo cui haec scribit et optat et sperat. 1618.

Doktor Zygmunta III.

Dwudziesta druga karta.

Absentis noli rodere famam.

Herb Strzemię w ozdobach... von Gilewski 1619.

Gilewskich Niesiecki zna tylko h. Kotwicz.

Dwudziesta trzecia karta.

Par bien servir et loyal estre
De serviteur on devient maitre.

Amice recordan. ergo relinquebat Patavij 10 Marty 1620.

Albertus Białecki.

Herbu Jelita? w Sandomirskiem, inni Szeliga. Alberta tego nie znajduję nigdzie.

Dwudziesta czwarta karta.

Cura quidem vita est: patriae sed morte pacisci.
Commoda, majus opus, major habetz amor.

Praestantissimo Doctissimoque Dno Conrado Bergij haec ad ponere volebat Francoforticis Viadrad 24 April. Anno 1623 Hieronymus Cicovius a Voisłavice Eques Polon.

Cikowskich z Wojsławic h. Radwan rodzina w Krakowskiem stara i znana. Ludzie byli możni. Hieronym ten z Bolestraszyckiej urodzony, syn Jędrzeja Sekr. król.?

Ciąg dalszy nastąpi.

BAL MASKOWY.

Z DZIENNIKA MŁODEJ MĘŻATKI

przez

Ernesta Ecksteina.

Dokończenie.

— «Oui mon ange! Mamy zresztą jeszcze dwadzieścia pięć minut czasu, może więc nalałabyś mi «Chartreusy» szklaneczkę?

— Bezbożnik! I on myśli o Charteusie, podczas gdy mnie serce mało nie pęknie.

Oczekiwałam tylko, kiedy zaprzęgać każe, lecz zwolna wypalił cygaro do końca i rzekł obojętnie:

— Proszę cię, poślej po dorożkę! Na tych kilka kroków nie warto koni trudzić!

W milczeniu pocisnęłam guzik od dzwonka, a gdy służący wszedł, wysłałam go po dorożkę.

W pięć minut później Rudolf pożegnał się zemną. Przelotnie pocałował mnie w czoło i rzekł: Do widzenia! Osłupiała i przerażona patrzałam z okna mego buduaru za znikającemi kołami. Zdawało mi się, iż tam potoczyło się moje szczęście, moja młodość, życie całe — na zawsze!

Dreszcz febryczny wstrząsnął mną całą.

Nie mogąc się uspokoić czas jakiś, przechadzałam się po wszystkich pokojach; a nieszczęśliwą Klarę pierwszy raz od mego zamęźścia wyłajałam tak gwałtownie, iż zalała się łzami.

Podczas gdy biedne stworzenie łkało w kącie, dał się słyszeć głos dzwonka. Mały groom baronowej przyniósł mi woniący fiołkami bilecik, w kopercie łososiowej barwy, opatrzony koroną i monogramem i prosił o odpowiedź.

W eleganckiej korespondentce baronowa pisała:

«Chére enfant!»

Cóż słychać? Widziałam właśnie pana i władcę jadącego Jeziorną ulicą, z czego wnoszę — Enfin, cóż postanowiłaś? Mąż mój bardzo zajęty, przeto pojadę sama. Jeżelibyś chciała wyjść zemną, punkt o godz. 9-tej przyjadę po ciebie. Ponieważ będzie się w masce i w kole dobrych znajomych, nie czuję absolutnie najmniejszej *gêne*.

Pozdrowienie i całus — od pewnej swego.

G.

— Jeziorna ulica! a miał udać się na dworzec! Jest to całkiem przeciwległa droga!

Natychmiast usiadłam do biórka i na ćwiartce nabazgrałam:

Kochana baronowo! O dziewiątej godzinie oczekuję panią.

A.

— Tak — rzekłam, gdy groom się oddalił — odrzućmy fałszywą sentymentalność! Kto wie, do czego to doprowadzi! Może lekcya okaże się tak doskonałą, iż na przyszłość do spraw podobnych odejdzie mu ochota.

Trzy kwadranse na siódmą — najwyższy czas, żebym rozpoczęła toaletę. Klara sądzi, iż pojadę z baronową do państwa Tarnów i pod tych opieką udamy się na bal. Dobre stworzenie! Zapomniała już o mej poprzedniej porywczości. Teraz lamentuje z powodu domina. Ma słuszność! Kostium mój bowiem jest zachwycający, — renaissance — jedwabny poziomkowy z różowemi! I na to wszystko zarzucić szafirowe domino! Rozpacz prawdziwa! Klara nie może pojąć mego postępowania; jestem porządnie zakłopotaną! Domino zamówiłam sobie dopiero wczoraj, tusząc przedtem ciągle, że nie będzie mi potrzebnem. Niestety

Cara dolcissima! Gdybyś nie była zaręczoną zawołałabym z głębi serca: Nie wychodź za mąż Olesiu! Żyj spokojnie pielęgnuj twe prześliczne kwiaty, orzeźwiaj się lekturą ulubionych poetów, grą sonat, które tak mistrzowsko wykonujesz, zawiąż stosunki z poważnymi ludźmi, a strzeż się związku, który obiecuje nam niebo — ah! — a w łonie swojem ciężkie, złowieszcze burze ukrywa!

20 Stycznia, we czwartek.

Wczoraj powóz baronowej przybył ze zwykłą punktualnością.

— «Chére enfant» — rzekła, gdy siadłam koło niej. Ty drżysz! No! Niepotrzebnie to tak bierzesz do serca! Mężczyźni są, jacy są! I ręczę ci, iż ze stu, którzy by podobny bilet odebrali, jeden zaledwo nie skorzysta ze sposobności.

Westchnęła z głębi piersi.

— Mówiąc prawdę — ciągnęła baronowa dalej — miałabym nawet za złe memu mężowi, gdyby w podobnym wypadku nie okazał ciekawości. Mężczyzna bez temperamentu jest przerażającym sprzętem, bałwanem pustym, kretynem. Z takim dwadzieścia cztery godzin nie mieszkałabym pod jednym dachem. Teraz zbierz przytomność ma petite! Gdy małżonek zostanie o zdradzie przekonany, ukarz go najpierw najsurowszem zaniedbaniem, później wszelako daj się przeprosić. Voila tout! Cała rzecz nie warta wzmianki!

Westchnęłam powtórnie.

— Dobrze jej mówić—pomyślałam. Ona jest damą wielkoświatową; posiada wszelkie środki dobrego humoru, dowcip a jak sądzę i filozofię! Ale ja — wielki Boże! Nie — nie zniosę tego!

Wreszcie przybyłyśmy. Maleńki groom zaniósł nasze futra i kapotki do garderoby, podczas gdy ująwszy się pod ręce szerokiemi schodami przedsionka wchodziłyśmy do sali.

Tam już rozlegała się wspaniała muzyka, wyborny walec, uroczy, porywający, ucieleśnienie uciechy życia. Ach! jakże byłabym się czuła szczęśliwą, gdyby nie ten bilet! Rudolf nie lubił tańca, ale zawsze na pamiątkę naszych zaręczyn poloneza i walca pierwszego zemną odtańczył. Ach! a tańczył tak cudownie! Było to niewymownie słodkie uczucie módz sobie powiedzieć: człowiek, który cię tak pewnie wśród wirujących par prowadzi, powiedzie cię tak samo przez wir życiowy, on jest twą tarczą i ochroną w wszelkich niebezpieczeństwach, on piękny, szlachetny i dobry, a pozostanie takim, gdy światła te pogasną i muzyka umilknie! Obecnie smutną byłam niewypowiedzianie.

Naraz kurczowo ścisnęłam ramię przyjaciółki. O trzy kroki od nas ujrzałam wysoką postać w szafirowem dominie z jasno niebieskiem obszyciem. Bez atłasowej szarfy nawet spadającej na plecy. Byłabym go poznała. Był to Rudolf.

Baronowa skinęła. Zatrzymałyśmy się chwilę.

— W sali rozłączymy się — rzekła stanowczo. Po tęgiej figurze łatwo mnie poznać i twój Don Juan mógłby coś podejrzewać.

Podczas tego znikł nam z oczu.

— Rozłączmy się.

— Do widzenia! — szepnęła mi baronowa. Otóż nadchodzi kapitan Saldern! Prześliczna maska, ale nog krzywych ukryć nie potrafi! Idź już Alido! Steruje prosto ku nam.

Mówiąc to, odeszła zwolna, pompatycznie, szeleszcząc stalowo-niebieską suknią! Mimo zmartwienia, zazdrościłam jej prawie iż może tak otwarcie doskonałość swej wspaniałej toalety wykazać, gdy ja śliczną sukienkę w domino okryć musiałam.

Walc, który nastroił mnie tak elegicznie był introdukcyą tylko; bo teraz dopiero wród szczęku trąb i fanfar rozpoczął się bal, podczas gdy z tamtej strony tak zwanej frankijskiej galeryi w małej sali pochód przygotowano.

Ja nic nie tańczyłam wcale — raz z powodu domina a potem smutnego mego nastroju. Nie robiłam nawet spostrzeżeń, które są głownym urokiem podobnych urocystości.

Przypadkowo rozpoznałam kiku młodszych panów z naszego towarzystwa. W innym razie byłoby mnie to bawiło, zwłaszcza gdy jeden z nich zbliżył się ku mnie, szepcąc różne szaleństwa. Doktór Hellmoldt mianowicie, dziwak, mający wyborny przedmiot do swych odurzających żarcików. Wziął mnie bowiem za Eleonorę Glitzing, która przed kilkoma dniami kuzyna swego wymownym koszem uraczyła. Szczęśliwem zachowaniem incognita byłam zadowoloną, szczególnie gdy udawało mi się wybornie głos zmienić, co z początku uważałam za niemożliwe.

Doktór Helmoldt znudzony bezbarwnością mych odpowiedzi odszedł nie zadługo, ażeby pożeglować za jakąś Małgosią uroczą, z blond warkoczami, która ustrojona w lazury i kwiaty brzoskwiniowe przechodziła koło nas. Wówczas po raz wtóry ujrzałam domino z atłasową szarfą i zostałam przezeń ujrzaną. Jakby sparaliżowany szczęściem spotkania powoli zbliżył się do mnie.

— Tysiączne dzięki za dotrzymanie słowa — szepnął z niezmierną czułością.

Oniemiałam z wzruszenia. Ale ponieważ musiałam coś odpowiedzieć, wyjąkałam w końcu z pomieszaniem:

— Nie teraz! Później!...

— Masz pani słuszność — odparł cichutko. W czasie uroczystego przedstawienia nikt nas nie zauważy; tu jednak świat jest tak zazdrosny...

Przerwał sobie, gdyż muzyka w tej chwili umilkła. Odwróciłam się z zbolałem sercem.

Huk trąb przeciągły oznajmił zbliżanie się pochodu.

Ogromnemi zakrętami frankijskiej galeryi schodzili przedstawiciele wszystkich stuleci po sześć lub ośm par w odpowiednim epoce stroju. Widok był imponujący!

Francuzki Abbe, akcent jego zdradzał nadreńczyka, grzecznie przystąpił do mnie i pół żartem tłumaczył mi szczegóły z dokładnością godną specyalisty.

A więc naprzód szli starożytni Egipcyanie, damy w uroczych sfinksowych fryzurach, z kwiatami we włosach, wąsko ukostiumowane, panowie w krótkich pstro obszytych sukniach; można było mniemać, iż czyta się się romans Ebersa.

Potem następowali: Semiramis, Ninus i dworscy trabanci Persowie, Medowie, Asyryjczycy i inne trudne do spamiętania ludy, mężczyźni z długiemi brodami w tyarach na głowie lub w dziwnie szpiczastych kapeluszach; znowu tłum Macedończyków pod przewodnictwem Aleksandra Wielkiego, ateńscy młodzieńcy z kwitnącemi dziewicami, krótko mówiąc, całość była mistrzowska! Rzymianie z czasów cesarstwa, Gotowie, Huny, ludy z północy i tak dalej i dalej z wszystkich czasów aż do pierwszej połowy naszego stulecia, wszystko było z zdumiewającą dokładnością przedstawione, i jak mnie Abbé zapewniał wierne aż do najdrobniejszego szczegółu.

Możesz sobie wyobrazić droga Olesiu ile by mnie to interesowało, gdybym była zdolną zebrać spokojnie myśli? A tak patrzałam tylko na wszystko jak we śnie i dopiero teraz obudziło się we mnie właściwe podziwienie. Śmiało twierdzić mogę, iż nigdy i nigdzie nie widziałam nic podobnego, nawet w Rzymie, gdzie margrabina Ruspoli sławną swą «włoską noc» urządziła.

Gdy pochód zniknął w sąsiednich pokojach, większa część widzów zwróciła się ku małej sali, ażeby zająć miejsce bądź na wysokich estradach, bądź też na galeryach.

Ja, stosowie do pierwotnego planu, wybrałam sobie kącik w skąpo obsadzonej przestrzeni pomiędzy trzecim a czwartym słupem.

Rudolf zjawił się natychmiast.

— Nareszcie — wyszeptał zachwycony.

Na prawo znajdowała się scena, na której w tej chwili podniesiono zasłonę i przedstawienie rozpoczęto.

— Więc to jest prawdą, ty piękna, boska, urocza? — spytał czule ku mnie pochylony — prawdąż to jest, że kochasz mnie? Wiem, piękną jesteś! gdyż piękność tylko użyczyła ci odwagi do napisania listu.

— W istocie — odparłam, postępowanie moje jest niezwyczajne, ale namiętność tyle tłumaczy!

— Uszczęśliwiasz mnie nieskończenie! — rzekł, biorąc moją rękę. Wyrwałam ją, gdyż zdawało mi się, że to dotknięcie na zawsze nas rozdwoi. Ale pożałowałam szorstkości niebawem. Na-

myślilam się bowiem do zupełnego odegrania roli, gdyż chciałam się dowiedzieć, jak daleko niesumienność swą doprowadzi.

W rozmowie usunęliśmy się na bok za słup olbrzymi, tak że publiczność odwróconą do nas była plecami.

Gdy Rudolf znowu pochwycił mnie za rękę, nie broniłam jej i z wyzywającem poruszeniem głowy rzekłam:

— Gdyby to wiedziała pańska żona?

— Mój Boże! — odparł nieco niespokojnie, skądże myśl ta przyszła pani do głowy? Czyż ciągle trzeba mi przypominać, że noszę więzy?

Nie posiadałam się ze wzburzenia.

— O! tak — wyjąkałam — dźwigać takie kajdany musi być nieopisaną męczarnią Jedną chwilę szaleństwa, omamienia zapłacić całem chybionem życiem!

Sądziłam, że mi zaprzeczy; ale milczał.

Wybucham więc niezwykłą wesołością — opanował mnie pewien rodzaj szatańskiego humoru, wyzywałam go, drażniłam i nie spoczęłam dotąd, dopóki nie wyznał mi ogrodkami, że Alida nie rozumie go wcale, że jest on niewolnikiem bezdusznej gospodarności, a ja nieznajoma, wybraną jestem przez opatrzność, żeby mu szczęście i wzruszającą sercem namiętność ukazać.

Mówiąc to, w nadmiarze uczucia, pocałował mnie w rękę, raptem o kilka kroków przed nami wynurzyło się inne domino. Jak wenecki Nobile przybrany w szkarłatną barwę człowiek ów przypatrywał nam się w taki sposób, iż uczułam się zakłopotaną. Natychmiast przybrałam ochronną postawę, lecz gdy za chwilę bojaźliwie spojrzałam na bok, szkarłatny zniknął.

(Dokończenie nastąpi).

ZE LWOWA.

(Ciąg dalszy).

Drugą wieżę jedynie do wysokości kościelnego zrębu wyprowadzono. Boki świątyni różnemi bezsensowemi przystawkami obudowano, a jedynie w prezbiterium gotyckie okna zostawiono. Wszystko więc razem biedne i brzydkie. Wnętrze jednak, pomimo że wymalowane w stylu rococo, jest piękne, o trzech nawach, z kształtnemi lekkiemi filarami, z imponującem przezbiterium i bogatem, szlachetnem sklepieniem.

Pomniki znajdują się w katedrze następujące:

Arcybiskupa Andrzeja Ankwicza zmarłego w 1838 r.

Katarzyny z Ossolińskich Jabłonowskiej zm. 1806 r. a przedstawiający dwie alegoryczne figury z białego marmuru, pięknej bardzo roboty Witwer'a.

Przez arcybiskupa Sierakowskiego Wacława w r. 1769 w ścianę prezbiterium wmurowana tablica pamiątkowa dla wymienionych na niej swych poprzedników.

Tablica nagrobkowa z portretem Mikołaja Załuskiego, wojewody czernichowskiego. zm. 1723.

Odnowiony pomnik Pawła Grodzickiego, generała artyleryi zm. w 1645 r.

Dwa pomniki z białego marmuru biskupów. Z tych jeden w klęczącej a drugi w leżącej postaci. Bez napisów lub herbów, roboty nieszczególnej.

Po prawej ręce [1]). pierwsza obok głównych drzwi kaplica, w stylu odrodzenia, obejmuje cztery pomniki marmurowe z XVIII. wieku, lwowskich mieszczan Campiani.

Na lewej stronie prezbiterium wreszcie, po nad stalami, przedstawiony jest klejowemi farbami, w całej postaci i w zbroi Jan III. i wskazuje buławą na napis pouczający nas, że w r. 1672, jeszcze jako Marszałek W. kor. we Lwowie chorobą złożony, uleczonym został cudownie i w dowód wdzięczności wotum w tym kościele złożył.

[1]) Gdy mowa o wnętrzu kościoła, uważa się za prawą stronę ową, która po prawej ręce księdza przy ołtarzu, twarzą do publiczności zwróconego, leży, a więc tę, która po lewej stronie wchodzących do kościoła się znajduje.

Na placu Kapitulnym, po za katedrą, stoi jako narożni budynek, kaplica z ciosu zbudowana. Front jej obemuje po każdej stronie drzwi dwa okna, każde półokrągło zasklepione a w ten sposób ze sobą złączone, że kolumnę pomiędzy niemi, na którejby się oba przesklepienia opierały opuszczono, sam tylko jej kapitel pozostawiając.

Wnętrze stanowi kwadrat kopułą nakryty, wszystko z bogatą ornamentyką. Cała kompozycya jest w czystym stylu odrodzenia piękną i bogatą. Wykonanie zaś surowe i niedołężne. Zdaje się, że włoski artysta plany tu robił a miejscowi nieudolni kamieniarze je eksekwowali. Ołtarz naprzeciw drzwi wchodowych jest, że tak powiem, piętrowym. Dół jego stanowią trzy arkady, z których środkowa o dużo wyższa, wszystkie jednem, horyzontalnem gzymsowaniem ujęte. Po nad środkową arkadą, jakby na I. piętrze stoi znów arkada z bogatym gzymsem, aż do kopuły sięgająca rzeźba, w ołtarzu, przedstawiająca Chrystusa w Ogrojcu, również jak i na lewej bocznej ścianie umieszczony medalion z portretem mężczyzny w płaskorzeźbie, z kamienia, z herbem Sulima, są olejnemi kolorami pomalowane, co dziwnie przykre sprawia wrażenie. Napisu żadnego tam nie znalazlem.

Do tegoż stylu odrodzenia, a mianowicie do odcienia u nas włoskim zwanego, zaliczyć muszę nietylko kościół Bernardynów z facyatą ciosową, bardzo staro wyglądającą, ale i brzydki kościół św. Ducha (jezuicki) i cerkiew wołoską, wszystkie wewnątrz na wcale niepowabne barocco przerobione. U św. Ducha znajduje się kilka tablic nagrobkowych rodziny hetmana Jabłonowskiego.

Kościół dominikański, na placu tegoż nazwiska wygląda zewnątrz nie bardzo imponująco. W stylu rokoko, facyata przedstawia cztery jonickie do ściany przylepione kolumny, dźwigające fronton półokrągło zakończony, a różnemi statuami przyozdobiony. Między kolumnami wielkie prostokątne drzwi wchodowe. Nad niemi takież okno z balkonem kamiennym. Po za tym frontem wznosi się wysoka rotunda z prostokątnemi oknami. które są pomiędzy kolumnami jonickiemi, zawsze po dwie razem stojącemi, pomieszczone. Rotundę pokrywa kopuła.

Obok tego głównego budynku, niejako środka, znajduje się po każdej stronie wygięta przystawka piętrowa, w parterze prostokątne drzwi, a na piętrze takież okno mająca. Prócz tego z prawej strony dobudowano wieżę, w jej parterze mieszczą się drzwi. Na I. piętrze prostokątne, ma również okno i jest kopułką pokryte.

Wewnątrz Dominikany są bezsprzecznie najpiękniejszym lwowskim kościołem i przypominają one nieco wenecki kościół Santa Maria Salute, gdyż tworzą rotundę, mającą w ośmiu miejscach po dwie korynckie kolumny obok siebie. Pomiędzy takiemi parami kolumn przybudowane jest wejście, naprzeciw niego prezbiterium i po każdej stronie po trzy kaplice, razem więc ośm przystawek. Wspomniane kolumny dźwigają gzyms bogaty, na którym pomieszczono statuy kamienne świętych. Na gzymsie znów stoją podobne kolumny I-go piętra podtrzymującego gzyms, a nad tym dopiero wznosi się kopuła.

W kaplicach znajdują się następujące pomniki:

Zawcześnie ze szkoda zm. malarza Artura Grotgera. Jest to bardzo piękna robota Gadomskiego. Jeniusz, figura kobieca z białego marmuru otacza laurem takiż medalion z portretem zmarłego, na szarym obelisku zamieszczony.

Gubernatora Galicyi Hauera w r. 1822 wykonany przez Simser'a. Kobieca posjać, miasto Lwów przedstawiająca, z białego marmuru, stojąca przy czarnej marmurowej tablicy z napisem.

Józefy z Olizarów Borkowskiej zm. r. 1811. Płaski sarkofag, ozdobiony płaskorzeźbami z białego marmuru. Tablica nagrobkowa Jana Swoszowskiego, pisarza ziem. lwow., który przybudował do kościoła poboczną kaplicę z XVIII. wieku.

I pięć ciekawych bardzo pomników. Wszystkie z alabastru krajowego, jednego dłuta, nie arcydzieła ale porządnej roboty, bez napisów a przedstawiające rycerzy w zbrojach, leżących, z buławami lub buzdyganami w ręku, (niewiadomo, bo wszystkie w tej mierze uszkodzone). Z tych jeden z herbem Prawdzic, jeden ze Sasem i Bończą, a trzy o czterech klejnotach każdy, tj. z Rochem III., Trąbami, Agończykiem i Rawiczem, drugi ze Sasem, Toporem, Kownią i Krucynim, a trzeci z Korczakiem, Kownią, Okszą i Tarnawą. Gdy w dwóch powtarza się herb Sas, a ten również na nowo danem kolorowem

obecnie w jednej z kaplic się pojawia, możnaby się domyślać, że to pomniki Dieduszyckich i ich pokrewnych; bo niezawodnie jeden je robił artysta i jeden je stawiał fundator. Nie miałem czasu badać, kogo by one przedstawiały.

W drugiej kaplicy po prawej stronie, umieszczona jest na ścianie stara, drewniana rzeźba, przedstawiająca Przemienienie Pańskie. Trudno jest wartość ocenić, gdy przez grube pozłoty i olejne farby bardzo jest oszpeconą. W wysokim jednak stopniu przypomina rodzaj dzieł Wita Sztosa. Wiadomem zaś, że gdy on wraz ze swą czeladzią wiele prac wykonywał, ztąd nie wszystkie są jednej wartości artystycznej. Życzyć trzeba, aby to biegły znawca na miejscu sprawdził.

W stylu rococo zbudowaną jest także grecko-katolicka Archikatedra św. Jura, która wraz z zabudowaniami mieszkalnemi, na dość wysokiej górze stojąca, dla wielu miejsc Lwowa pyszny stanowi widok. Lecz również z podworca przed tym kościołem będącego widzi się całe miasto i okolicę, pejzaż istotnie prześliczny.

Opisać wszystkie te zabudowania jest dość trudnem zadaniem. Ulicą Mickiewicza idąc wzdłuż muru, wchodzi się bramą na prawo. Wszedłszy, widzi się po lewej ręce dom piętrowy bez stylu, w literę **Z** zbudowany. (Oczywiście pojedyńcze jego skrzydła stykają się ze sobą pod kątem prostym). Pawilon tworzący górną część, tej litery, ma w szczytowej ścianie 5, a w ścianie do drugiej jej połaci dotykającej 7 okien szeregiem. Ta długa połać obejmuje 13 okien. Dolna zaś poprzecznica, tej litery Z, ma 5 okien długości. Między więc tym ostatnim 5 okien długim pawilonem, a drugim takimże, również 5 okien obejmującym budynkiem, stoi kościół zbudowany w kształcie krzyża równoramiennego. Osobliwszem jest to, że każdy szczyt czyli facyata tych czterech ramion krzyża jest tak wązką, iż stanowi czworokątną budowę, z zaokrąglonemi rogami, ubraną pilastrami, jedynie o bramie wchodowej, lub w bocznych szczytach o jednem oknie.

Ale szczyt taki stanowi niejako tylko bardzo wyskakujący rezalit budynku utworzonego przez boczne ściany dwóch dwóch innych ramion krzyża, które się go z jednej i z drugiej strony dotykają, a z których każda na I. piętrze po 4 okna prostokątne okazuje. Po nad gzymsem wieńczą tę budowę z każdej strony ozdobne parapety z ciosowemi wazonami.

Na przecięciu ramion krzyża zbudowano rotundę, mającą po nad każdym z opisanych szczytów okno prostokątne, ozdobioną od góry balustradą ciosową. Ta to rotunda dopiero dźwiga niską kopułę zaopatrzoną w latarnię.

Dokończenie nastąpi.

KRONIKA.

Dykas, Dykasa, Dykasowi, Dykasa, o Dykasie, Dykasem, na Dykasie — oto treść rozmów prywatnych, dyskussyj publicznych i artykułów dziennikarskich z ostatnich dwóch tygodni. Szczęśliwy zaiste człowiek noszący to nazwisko! Nic do tej chwili na świecie nie zrobił, w zawodzie swoim niczem się nie odznaczył, przysłał tylko zgrabny ale banalny i szablonowy projekt na pomnik Mickiewicza, za tę banalność i szablonowość nagrodzono go i oto nazwisko jego stało się głośnem do tego stopnia, iż w pewnych sferach, mówiących po francusku, zrodziła się wątpliwość kto właściwie pomnik ma stawiać, czy Dykas Mickiewiczowi, czy Mickiewicz Dykasowi? «Czas», «Przegląd» i «Słowo», podają skwapliwie jego życiorysy, dmąc w trąbę demokratyczną, Matejko został przez niego «warchołem», Jenike przestał być «poważnym», Maleszewski, K. Zalewski, J. K. Gregorowicz i inni przeszli do obozu «niepoprawnych krzykaczy», «Gazeta narodowa zawarła sojusz z «Czasem», Estreicher porzucił bibliografją i napisał na tle dykasowskiem komedją p. t. «Pomyłki», a p. Marjan Sokołowski, jak czytam w Reformie, rozstał się z estetyką i wygrywa «tańce hiszpańskie» w Kole literackiem.

Przyznam się pod sekretem, (bo otwarcie o tem mówić rzecz niebezpieczna), że projekt p. Dykasa na pomnik Mickiewicza zachwycił mnie i rozczulił. Sam pomysł podstawy równej wysokością figurze Mickiwicza jest tak srodze oryinalnym i wiele mówiącym, iz dziwię się jak tego nie spostrzegła «znakomita dama» z Czasu, która choć nie widziała, jak sama przyznaje, projektu, ale odczuła go i pokochała. Szczegół podniesiony przezemnie znaczy, iż nic większego nad wieszcza być nie może, kiedy nawet podstawa jego pomnika karleje pod ciężarem olbrzyma. Co do reszty symboliki zgadzam się zupełnie ze «znakomitą damą», z wyjątkiem tylko wody, oznaczającej według mnie, iż

dużo jeszcze wody upłynie
zanim sława jury zaginie.

«Znakomita dama» nie zauważyła również, o czem już wspomniał p. Guillaume (patrz protokół jury), iż dzieci czerpiące wodę, są w gimnastycznych pozach, czem autor projektu chciał zachęcić Kraków do założenia Sokoła, na wzór czeskich towarzystw gimnastycznych. Uwagi jej także uszły schody połokrągłe, wskazujące iż kto nie prosto ale półokrągło chce iść do góry może zlecieć na dół i potłuc sobie tę część ziemskiej powłoki, której wobec moich czytelniczek wymienić nie chcę i nie mogę. Przyzwoitość także wstrzymuje mnie od wykazania na jaki użytek ma służyć tylna wanienka pomnika, do tej bowiem co jest z przodu lałby się strumień wody, jak sam p. Dykas objaśnia.

Protokół obrad jury winien raz położyć koniec krzykom warcholskim. Wszystko jest w nim wytłomaczone tak jasno i przystępnie, że tylko «anarchia zwarcholona» (patrz Czas) lub «warcholstwo zanarchizowane» (patrz Słowo) może jeszcze na chwilę przypuszczać niesprawiedliwość sądu «mężów światłych i niezwykle wykształconych». Obowiązkiem moim jako kronikarza będzie przedstawić wybitne punkta protokółu.

Dowiadujemy się z niego, że Ekscellencja Popiel przewodniczył jury i udzielił zaraz na początku listu Matejki do przeczytania «wszystkim członkom rozumiejącym po polsku», a więc zapewne i p. Guillaume'owi, który jak się pokazuje z protokółu nietylko «rozumiał» ale czasami i czuł po polsku. Wogóle to wyrażenie «rozumiejących po polsku» jest nieco elastyczne, gdyż każe się domyślać, iż oprócz dwóch cudzoziemców byli i inni panowie niekoniecznie «rozumiejący po polsku», a w każdym razie słabo tym językiem władający. Władać bowiem dobrze językiem, a rozumieć to rożnica. Ja sam ile razy mnie jakiś Niemiec zaczepi, odpowiadam mu: «Ja, ja, ich verstehe, aber ich kann nicht deutsch sprechen» i czy mnie się spyta o magazyn obuwia, czy o drogę na Wawel, lub o Towarzystwo Ubezpieczeń, zawsze dodaję stereotypowo: «Das bekommen Sie vielleicht im Königsbergers-Bazar a choć czasem Niemczysko rozśmieje się lub wyłupi ua mnie oczy, ja sobie nic z tego nie robię, bo ich verstehe, aber ich kann nicht sprechen.

Ale wracając do rzeczy, przyjrzyjmy się dalej protokółowi.

Po wyłączeniu dwunastu modeli, jako niemających nadziei utrzymania się, żądał p. Sokołowski motywowania dlaczego projekty się wyłącza. Liberalizmem trącace to żądanie, słusznie odrzucił konserwatysta prof. Zacharjewicz, gdyż ludziom z Bożej łaski wybranym nie wypada usprawiedliwiać swego postępowania. O mało (wiadomość prywatna) nie kazano klęczeć p. Sokołowskiemu za takie anarchiczne warcholstwo, i tylko wstawienie się Jego Ekscellencji uratowało naszego nazwyczajnego c. k. estetyka od zasłużonego wymiaru kary. Wprawdzie dyrektor Guillaume chciał, aby przynajmniej dodatnie strony modeli podnoszono, ale przez grzeczność dla niego, nie chcąc go długo trzymać na posiedzeniu, nad wnioskiem jego przeszedł sąd konkursowy do porządku dziennego. Polecono tylko wpisać do protokółu, iż «jaknajsumienniej dyskussją prowadzono.»

Rozpoczęło się na wielką skalę odrzucanie i «po ostatecznem obejściu» zostało sześć projektów, mających, jakby się zdawało, prawo ubiegania się o nagrody. Ale «sąd konkursowy» uznał dwa odrazu «za niekwalifikujące się do otrzymania pierwszej nagrody,» a więc, co z logiki wypływa, nie zastanawiał się nad niemi również przy udzieleniu drugiej i trzeciej nagrody.

«Zaczęła się dyskussja o wartości czterech pozostałych» projektów—powiada protokół, ale to powiada tylko tak sobie, aby pokazać, że sądowi wolno robić co mu się podoba. Ma radzić o czterech, ale mu się nie chce, a więc nie radzi. Simplex servus Dei rozejrzałby się po kolei we wszystkich, trudziłby się niepotrzebnie nad wynajdywaniem zalet i wad każdego projektu, traciłby nadarmo czas i suszyłby bezpotrzebnie głowę. Sąd konkursowy rzeczy te lepiej rozumiał: rozpoczął i snończył rzecz całą dyskussją nad projektem p. Dykasa i gdyby nie Ekscellencja Popiel, zwolennik projektu p. Celińskiego, nie byłoby wzmianki w całym protokole o innym jak p. Dykasa projekcie. O dwóch pozosta-

łych też, a mających prawo ubiegania się o pierwszą nagrodę, żadnej wzmianki w protokole łaskawy czytelniku nie znajdziesz. Wprawdzie p. Odrzywolski chciał usłyszeć zdanie «znakomitych mężów» o dwóch drugich projektach, ale sąd słusznie uważając, iż «ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła», nie zadowolił p. Odrzywolskiego, dając mu do zrozumienia, iż w gronie, w jakiem pozwolono mu się znajdować, nie powinien o nic pytać, a tylko robić, co każą, inaczej bowiem naruszoną byłaby zasada karności.

Radzono więc o projekcie p. Dykasa. Bardzo małe czyniono mu zarzuty. Oto kwiatki z tego wianuszka:

P. Guillaume twierdził, że «możnaby żądać dla pomnika największego wieszcza więcej natchnienia i więcej podniosłości» (str. 2), że «pomnik jest zimny, bez życia i poezyi i pod względem narodowym mniej sympatyczny», że alegorja dzieci «ma charakter klassyczny, a nagość ich jest zbyt gimnastyczna,» że «nie odpowiada w obecnej formie wymaganiom pomnika dla Mickiewicza, który powinien być apoteozą i mieć cechy wspaniałości». (str. 5). P. Sokołowski uważa «potrzebę zmian w tylnej części, niewiadomo bowiem czemu orzeł w basenie umieszczony został; nadto głowa i postać wieszcza wymaga staranniejszego opracowania (str. 2). Hr. Lanckoroński widzi w projekcie «mało cechy narodowej; postać poety powinna być goręcej powzięta (?), strój nie tak zmodernizowany, głowa podniesiona w górę» (str. 2). Hr. Przeździecki jest tegoż zdania. P. Prylińskiemu «za mało» odzywa się w projekcie «tętna narodowego», «sama piękność» dla niego nie wystarcza. P. Roemer uważa pomnik za zbyt skromny. JEksc. Popiel nie znajduje w nim «wyższego nastroju, który powinien cechować pomnik dla naszego największego a narodoweko wieszcza.» P. Odrzywolski wreszcie jest zdania, iż architektura nie jest zastosowaną do materjału podanego w warunkach konkursu.

Cóż dziwnego, iż projekt tylko tyle wad mający otrzymał pierwszą nagrodę. Nieboszczka Twardowska więcej wad zewnętrznych miała, a przecież znalazła męża, który nie zważał na cielesną powłokę, a patrzał tylko na wewnętrzne zalety. A choć djabeł «dziurką od klucza» uciekł od tych zalet wewnętrznych, to jury przecież nie składała się z duchów ciemności i choć projekt p. Dykasa był banalny umiała zajrzeć w głąb jego duszy i ukryte piękno zobaczyć i ocenić.

W chwili kiedy to piszę, stanął przy mnie pewien «liberumwetowski warchoł tromtadratyczny» (patrz słownik «Czasu») i zapytał: «a jakże pan wytłumaczysz ten fakt, że kiedy pp. Popiel, Guillaume, Sierakowski, Romer, Odrzywolski i Pryliński wyraźnie oświadczyli się przeciw udzieleniu pierwszej nagrody p. Dykasowi, to później wszyscy w wyjątkiem jednego dali głos jego projektowi. Powiesz pan, że się przekonali o mylności swego zdania, ale czyż w rzeczach piękna można się dać przekonać! Jeżeli własne oczy mówią mi, że coś jest brzydkiem, to przecież żadna teorja, żadna dyskussja tego wrażenia brzydoty zatrzeć nie zdoła.» Na takie pytanie niema odpowiedzi. Jeszcze tego tylko by brakowało, aby «rozkiełznana w przeczeniu demagogja» (patrz słownik «Przeglądu lwowskiego») nie dozwalała ludziom z «towarzystwa» i ludziom przypuszczonym do towarzystwa ludzi z «towarzystwa», zmieniać swoje zdanie jak im się podoba.

Sąd konkursowy godnie pojmował prawdziwą wolność zdania i lepsze jeszcze jej dał dowody od tego, jaki «warchoł» przytoczył. Jeden z sędziów naprzykład chciał udzielić drugą nagrodę projektowi oznaczonemu nrem 8 ym, ale zaraz zmienił swoje zdanie i widząc, iż p. Celiński wziął drugą nagrodę, nie dał już głosu nrowi ósmemu przy głosowaniu na nagrodę trzecią. Był więc ten projekt przed chwilą według jego zdania godnym 2-giej nagrody, a po chwili nie wart nagrody trzeciej. To jest niezależność zdania.

Jeszcze większej niezależności dał dowód inny sędzia, który już po otrzymaniu drugiej nagrody przez p. Celińskiego, chciał mu jeszcze udzielić trzecią nagrodę, jak to wyraźnie w wyniku głosowania jest naznaczone. To już szczyt wolności zdania, szczyt zarazem odwagi obywatelskiej, jest bowiem rzeczą łatwą do przewidzenia, że warcholstwo postara się ośmieszyć tego męża. Sam już słyszałem jak jeden warchoł, mówiąc o nim, użył bardzo niedelikatnego wyrażenia i podejrzywał tego «światłego i gruntownie wykształconego» męża o spożycie przed posiedzeniem dobrego śniadanka, zakropionego butelczyną Imperiala. Takiem twierdzeniem zdradził tylko warchoł zupełną nieświadomość rzeczy, posiedzenie bowiem rozpoczęło się o g. $10^1/_2$. a przed tym czasem «dobrze urodzeni» i ludzie z gminu przebywający w towarzystwie «dobrze urodzonych» śniadanie z winem tylko w wyjątkowych okolicznościach spożywają.

A czy nie genjalnem jest nagrodzenie projektu, w którym wszystko się każe przemienić, zacząwszy od całej postaci Mickiewicza, a skończywszy na zamianie wody zwykłej na stałą *wodę złoconą* (*Goldwasser*)? Jedna architektura ma pozostać nietknięta, ale o tej architekturze, z pomnika Beethowenowskiego przyswojonej, wyraził się p. Odrzywolski, że nie jest zastosowana do materjału oznaczonego warunkami konkursu. Nagrodzić coś, w czem nic dobrego się nie dopatrzono, bo wszystko zmienić kazano, to jest prawdziwie oryginalnem i wzniosłem.

A tu protesty się mnożą, warchoły wrzeszczą, «katylinarne egzystencje» buntują się, a cała sztuka polska, którą za coś porządnego dotąd miałem, wyprawia niesłychane hece i urąga sądowi. Taki np. Matejko lub Brandt, których się przecież grzecznie w salonach traktowało, którym się nawet zapomniało, że są «źle urodzeni», tacy nawet konspirują wraz z «zrewoltowanem dziennikarstwem» przeciw sądowi ludzi «światłych i gruntownie wykształconych.» Pojmuję jeszcze Matejkę, — ten przysłał swój projekt i zły jest naturalnie, iż nawet trzeciej nagrody nie otrzymał, bo ta goła malarja djablo jest chciwa na złoto, ale czego chce ten pan Brandt, kiedy projektu swego nie nadesłał, więc i tak nic by mu nie kapnęło.

I takiemu warchołowi urządzają w Monachium jakiś jubileusz. Za co? — za to, że zasmarował dużo płócien szkapami i obdartą hołotą. Niedługo to już szewcom jubileusze sprawiać będziemy! W Warszawie przecież niedawno jakiemuś doktorowi, za to, że przez pięćdziesiąt lat oczy zastrzykiwał, jubileusz i to jubileusz z obiadem, i to z dobrym obiadem wyprawiono.

A propos Brandta będąc przed godziną w biurze telegraficznem widziałem jakiegoś warchoła piszącego telegram wierszem w tych słowach:

Mistrzu Józefie! żyj jak najdłużej,
Genialną dłonią odtwarzaj dzieje,
Niechaj ci szczęście we wszystkiem płuży,
Los się uśmiecha, spełnią nadzieje.
A tem kończymy tych życzeń wykaz:
Niech ci pomnika nie stawia Dykas!

No! jeżeli drut telegraficzny nie pęknie z oburzenia, przesyłając ten wybryk warcholski do Monachium, to chyba niema na świecie sprawiedliwości. Świetna c. k. prokuratorjo ratuj, bo ja już nie mogę.

K. B.

PRZEGLĄD PRASY.

W sprawie niefortunnego wyroku *jury*, wszystkie niemal nasze pisma (z małemi wyjątkami) podniosły głosy zdziwienia lub oburzenia. Przytaczamy najciekawsze.

Tygodnik illustrowany w odezwie redakcyjnej powiada, „że wyrok przyznający pierwszą nagrodę p. Dykasowi wzbudził w Warszawie ogólne nietylko już zadziwienie, ale osłupienie“ a dalej w kronice: „okazało się, że twórcą tak zaszczytnie odznaczonego projektu jest p. Dykas, nieznany wprawdzie z dzieł swoich artystycznych, ale pamiętny z tego, że poprzednio już, na konkursie wstępnym, otrzymał również palmę zwycięztwa, za co?.. wyjaśnić niepodobna. To tylko wiadomo o nim, że jest uczniem profesora Zumbuscha i że opiekuje się nim dom Czartoryskich“.

„Dowcipnisie żartowali sobie, że ta praca jest raczej projektem na studnię wodociągową, ale nikomu przez myśl nie przeszło, że ta studnia otrzyma premium i zatopi w swem wnętrzu wszystkie oczekiwania a i nadzieje tych, co w niezachwianą powagę sądu wierzyli.“

Biesiada literacka mówi przez usta swego kronikarza:

„Musimy niestety wtorować tym, którzy widzą niesprawiedliwość w przyznaniu nagrody projektowi pierwotnie odrzuconemu, oraz tym, którzy sędziów obciążają winą za to, że stali się powodem publicznego zgorszenia, przykrego dla nich na chwilę tylko, ale szkodliwego na długo dla nas wszystkich. To wina ciężka, bardzo ciężka.“

Kłosy zapytują: „czy ostatnie *jury* krakowskie dało się uwieść jakim koteryjnym względom, czy może jak się to często w sądach konkursowych zdarza, przemogły i tym razem opinie rutynistów, którym ćwiekiem w głowie tkwią teorye szkolarskie?“ „Sam fakt zatargu jest smutnym, zwłaszcza, gdy idzie o dzieło, które ma być świadectwem jednomyślnej czci narodu dla poety, którego pieśń stała się prawdziwą arką między dawnemi a nowemi laty.“

Przegląd tygodniowy „uważa za stosowne przyłączyć się do protestu prasy warsz. z następujących powodów: 1. Cały skład komitetu pomnikowego był dowolnie utworzony; nie widzimy w nim ludzi, którzy czy to przez stanowisko swoje społeczne lub literackie, albo z powodu prac koło zapewnienia funduszów pomnikowych położyli w tej sprawie zasługi, ale jakąś krakowską arystokracyą w otoczeniu trzymających się pańskiej klamki indywiduów. 2. W komitecie sędziów brakowało delegatów od Towarzystw Sztuk Pięk. polskich. 3. W komitecie nie zasiadał ani jeden artysta-rzeźbiarz polski. 4. Sąd w wyborze konkurujących modelów nie trzymał się ściśle uprzednio ogłoszonych warunków konkursu. 5. Wreszcie p. Dykas, po za dwoma projektami konkursowemi nie jest znany krajowi z innych prac rzeźbiarskich, nie budzi więc zaufania, czy zdola z powodzeniem wykonać tak wielkie i na przyszłość mające pozostać dzieło sztuki.“

Kuryer poranny pisze:

Pomnik na nikim nie zrobił wrażenia, pomimo regularności linji architektonicznych, pewnej prostoty wykonania i nawet dość wdzięcznych figur. Dlaczego? Dlatego, że projekt jego był kosmopolitycznym i służyć mógł każdemu poecie, muzykowi lub malarzowi, nie pytając zupełnie o narodowość.

Naród, przez lat kilkanaście znosił w ofierze swój grosz wdowi. Młodzież corocznie urządzała szeregi wieczorków, z których dochód ciągle kapitalizowano i składano w kasie oszczędności. Warszawa nadsyłała hojne datki, z zagranicy nawet przychodziły dość znaczne sumy i wszyscy byli przekonani, iż za te pieniądze stanie pomnik, który przez długie wieki będzie świadczył, że umie czcić swoich wielkich poetów i stawiać im pimniki godne ich sławy.

Wyrok zapadł i nastąpiło smutne rozczarowanie.

„Czas“ zmuszony naturalnie wystąpić w obronie wyroku *jury*, nazwał zrewoltowaną opinję publiczną, dziełem anarchii i samowoli. Rzecz się ma tymczasem przeciwnie, bo dotychczas nie zdarzyło się prawie, aby ludzie różnych odcieni i przekonań, zamanifestowali tak zgodnie swoje zdanie, jak w sprawie oceniania projektu p. Dykasa. Na kilkadziesiąt dzienników, zaledwie dwa stanęły w obronie modelu, z godłem „Switeż . Jestto jeden więcej dowód, iż dziennikarstwo, w wyższych celach, potrafi iść solidarnie ręka w rękę.“

Tygodnik powszechny: „P. Dykas ma nieszczęśliwą rękę; raz już jako „Spłoszona Kraska“ na prowizorycznym konkursie narobił niepotrzebnie wrzawy i popłochu, teraz powtórnie, jak Piłat w Credo, swoją „Świtezianką“ został przez swych popleczników wmięszany w sprawę, która się źle skończyć może przed kratkami „opinii publicznej“. W końcu autor artykułu (Quis, który osobiście zwiedzał wystawę projektów), mówi: „Jury wydało wyrok, którego głos opinii nie chce i nie może zatwierdzić, w tem zaprzeczeniu tak zgodnem jest wyraźne *votum* nieufności dla komitetu sędziów, który jeźli się zna na parlamentarnych zwyczajach — powinien... podać się do dymisyi i pozostawić miejsce zaufańszym mandataryuszom ogółu.“

Świt zrobiwszy obrachunek z dotychczasowi protestami przeciw wyrokowi jury, pisze: „Po brzegi napełniono już kwasem sławną ową pana Dykasa *wanienkę*, a położenie komitetu wcale do zazdrości nie jest. Sam komitet złapał się fatalnie. Wybrał on wprawdzie ów wyforsowany projekt Dykasa, ale cóż się okazało? że będzie to projekt bardzo dobry, jeźli figurująca na nim Przyszłość i Przeszłość zamieni się na Filemona i Bancis, dajmy na to, albo na inne jakie dwie postacie; jeźli pod nogami posągu umieści się pióro, papier i kałamarz, dla odróżnienia go od statui starszego zgromadzenia ślusarzy przypuszczam, jeźli się wreszcie pomnik się podwyższy, orłowi kark skręci, *wanienkę* ową historyczną wstawi do piwnicy, a wziąwszy pod brodę samego wieszcza, powie się mu zgodnym sposobem: śmiało, śmiało, mój mały, uszy do góry! nos naprzód!..“

Takie są mniej więcej zdania prasy polskiej w sprawie projektów pomnika. Nie jest jednak wyciąg nasz kompletny; dla szczupłości miejsca nie umieściliśmy zdań *Prawdy*, *Wędrowca*, *Roli*, *Kur. Codz.* i *Gazety pols.* Dwa ostatnie pisma zamieszczały obszerne sprawozdania korespondencyjne o przebiegu sprawy, w czem jednak pierwszeństwo należy się *Kurjerowi warszawskiemu*. Z prasy galicyjskiej *Reforma* w ostrych wyrazach napiętnowała niestosowność wyroku, a drukowaniem protestów przyczyniła się do wyjaśnienia opinii ogółu. Ruchliwy *Kurjer Lwowski* nie omieszkał przyłączyć się do opozycyi przeciw wyrokowi, natomiast *Czas* i jego pisklę *Przegląd lwowski* w obronie jury wystąpili. Nie myślimy się dziwić organowi p. Masłowskiego, że „za panią matką pacierz“ powtarza, ale ze smutkiem notujemy, iż *Gazeta Narodowa* tak szybko przyłączyła się do stronniczego chóru obrońców złej sprawy.

S. Ł.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY.

Z TEATRU.

Benefis p. Hoffmanowej. Dramat Józefa Szujskiego: „Śmierć Władysława IV.“ Benefis panny Pysznikówny i komedya „Dziecię szczęścia“.

Chwilowy mój zastępca w zeszłym numerze *Przeglądu* słusznie zauważył, iż benefisowe przedstawienia nie tyle mają na celu wartość sztuki ile „wysprzedanie orkiestry“ i „grad bukietów“.

P. Hoffmanowa, mogąc wprowadzić jakieś dzieło sceniczne, któreby odpowiadało wymaganiom teraźniejszym, wolała otworzyć podwoje sceny Władysławowi IV. To królewskie przyjęcie miałoby zasługę w obec publiczności, gdyby sztuka Szujskiego była utworem prawdziwie dramatycznym a nie jednym dorobem więcej, że znajomość historyi nie jest patentem na dramaturga, a scena na głoszenie z niej pewnych historyozoficznych tendencyj.

Jak błędnie postępują ci, którzy do poezyi chcą wprowadzić żywioły jej obce, tak w równej mierze grzeszą zbytnią gorliwością stronniczą pisarze, którzy do jej dramatycznego odłamu przyczepiają tendencyjność historyczną. Podwójnie przez to ponosi stratę prawda. Nie osiągnie jej historya a najwięcej traci sztuka. Oczywiście o pierwszej nie tu miejsce wspominać; działalność Szujskiego na tem polu nadto wybitne pozostawiła ślady, abyśmy potrzebowali je komentować, idzie nam o zaakcentowanie, że to przeciążenie balastem historyozoficznym dramatu dziejowego ujemnie oddziałało na wartość tragedyi, jako utworu artystycznego. W tym względzie „Śmierć Władysława IV. nie różni się od innych prac scenicznych (z wyjątkiem Halszki z Ostroga) Szujskiego, a on sam nie odbiega od swoich współzawodników w bezowocnej pokusie stworzenia dramatu dziejowego. Z całej plejady mniej lub więcej wybitnych w tym kierunku pracowników, jeden może Mieczysław Romanowski szczerze kazał opłakiwać swój przedwczesny zgon. Ani Józef z Mazowsza, ani Bełcikowski, Małecki, Rapacki, Kościelski nie dorośli do miary, potrzebnej dla historycznego dramaturga. Jeżeli jednemu z nich brakło siły drugiemu intuicyi w odgadnięciu tła epoki, innemu wreszcie wyrazistości w kreśleniu figur a inny znów popadał w deklamacyjne chwalby przeszłości, to Szujski grzeszył pedanteryą uczonego i polemiczną swadą, która autorowi „Teki Stańczyka“ kazała w każdym fakcie historycznym dojrzeć materyał do przerobienia go na sposób właściwy sobie a partyi swej schlebiający. Te zamienienie sceny na katedrę uniwersytecką musiało za sobą pociągnąć zamianę dramatu na skrypt akademickich notatek, podzielonych na kilka oddziałów.

Końcowe lata panowania młodego Wazy posłużyły Szujskiemu za materyał do rzucenia kilku uwag o ówczesnym stanie stosunków między Władysławem a jego poddanymi, wreszcie między otaczającymi tron doradcami. Wprowadza nas autor *in medias res* na scenę sporu między hetmanami, zadzierzga węzeł ospale wlokącej się intrygi, pozbawionej interesu. Osoby działające ustawicznie radzą, mało czyniąc i to jest może jedynie najwierniejsze uchwycenie ducha czasu, typów epoki. Reszta sporów o to czy wojna ma się odbywać, czy nie, czyim wreszcie kosztem, blade do zbytku postacie królowej i Jana Kazimierza, wreszcie demoniczny charakter fikcyjnego hetmana polskiego, to się pionki ustawione na szachownicy przez autora nie dość zręcznie, obracające się nie według prawdy życiowej, ale po z góry wytkniętej przez tendencyjnego historyka drodze. Taki sobie cel wytknąwszy, autor w niewielu miejscach zdradza chętkę stworzenia *artystycznego* dzieła, zadawalnia-

ąjc się w zupełności skutkami jego tendencyjnej połowy. Często ta tendencya objawia się w ostrej satyrze, wówczas autor wysuwa gromadkę arystokratycznych rodzin malców, którzy swemi zdaniami o polityce charakteryzują przekonania swoich ojców a zarazem zapowiadają na przyszłość swój program polityczny. A często znów narzekania i wymówki króla są ostrem napomnieniem dla nieuszanowania władzy lub wyrzut królowej „w Polsce, kto myśli, siwieje“ gorzką zapłatą za doznane przykrości.

Rysunek charakterów nie jest jednolity. Postać króla nie jasną często się staje przez zbytnie nagromadzenie w niej tych wszystkich argumentów, które bronią monarchicznej władzy, za to królowej sylwetka ledwie się zarysowywa na bezbarwnem tle ubogiej akcyi. Nie dodaje też jaskrawości chorobliwe dziecko, Zygmunt królewicz, za mądry na swój wiek, ani Jan Kazimierz, ani Ossoliński.

Zlanie dumy wojaka i niesubordynacyi magnackiej w obec króla w osobie hetmana polnego, czynią postać tę mniej sympatyczną, ale może najwyraźniejszą.

Dramat Szujskiego nie wzbogacił wielce skarbca naszej literatury dramatycznej, wykazał małą ilość przymiotów scenicznych, ale zapewnił benefisowi p. Hoffmanowej powodzenie, bo Szujski ma poparcie u sfer, decydujących o „wysprzedaniu orkiestry“ i „gradzie bukietów.“ Sama beneficyantka położyła stałe dla sceny krak. zasługi, wytrwale pracując dla jej korzyści, słusznie więc nagradzano pracę p. H. a chociaż rola królowej w jednostronnem by świetle przedstawiła uzdolnienie sceniczne artystki, jednak i tu uczczono zasługi przeszłości, dawnych, większych ról. Właściwym tryumfatorem był p. Rygier, mający szczupłe pole do popisu mimo objętości roli; co można było wyzyskać na korzyść prawdy w charakterze króla, uczynił p. R. P. Sobiesław zrzuciwszy na chwilę szatę eleganckiego salonowca, imponował butną postacią i siłą deklamacyjną w roli szorstkiego hetmana. Równie niespodzianem a szczęśliwem było przejście pierwszego komika p. Frenkla do poważnej postaci doktora. Ossoliński w p. Podwyszyńskim, a Chmielnicki w p. Zapałowiczu znaleźli inteligentnych przedstawicieli. Panna Kałużyńska z wdziękiem interpretowała Zygmunta, mając bogatą we wdzięki świtę z żeńskiego personalu komedyi (pp. Ruszkowska, Koźmin, Solska). Mniej był szczęśliwym król, którego senatorowie zdradzali mało obycie z... salonami a nie już komnatami dworskiemi. Słuszność za to trzeba oddać wystawie zewnętrznej, wcale starannej.

Wiedzieliśmy od dawna, że *pierwsze naiwne* są „dziećmi szczęścia“ u... publiczności. Wielka szkoda, że nawzajem publiczność niema podobnego szczęścia do... sztuk benefisowych i tych, którzy je wybierają. W tem położeniu znalezliśmy się w ubiegłą sobotę, zebrawszy się dla wysłuchania komedyi p. Birch-Pfeiffer „Dziecię szczęścia“, którą p. Pysznik wybrała sobie na benefis.

Nie widzimy potrzeby streszczania losów i kolei, jakie przechodziła młoda pensyonarka, przyjmująca winy swej koleżanki (niewielkie co prawda); niema w całem życiu tego „dziecięcia szczęścia“ nic takiego, czegobyśmy nie widzieli w wielu ckliwych komedyach niemieckich i niejednej uczuciowo-efektownej bombie francuskiej; jest tu ogród, przekradania się przez parkany, podrzucone listy, srogie babki, odważni kochankowie, zabijający w pojedynku siedmiu przeciwników, zacne mamki, skorzy do niesienia pomocy przyjaciele, nakoniec nagrodzenie niesprawiedliwie uciśnionej cnoty i... ślub. „Wszystko to już było“ na wszystkie możliwe tony i we wszystkich cywilizowanych językach; gdyby choć te „stare dzieje“ oprawiono w świeże ramy. Gdzietam!.. budowa sztuki jest równie archaiczną, jak jej temat. Użyteczność p. Stanisławy Pysznik dla sceny naszej jest stwierdzoną obszernym jej repertuarem, w którym znajduje się niejedna rola, opracowana z artyzmem (Dzieciaki, Przyjaciel Fryc, Podróż do Sumatry, Jak się wam podoba?). Nie biorąc więc w rachubę niefortunnego wyboru benefisowej sztuki, młodą artystkę zachęcamy do sprobowania wyrobionych już sił w jakim poważniejszym utworze.

Praca grających zredukowaną była do trudności pamięciowych obszernych ról, które w p. p. Sobiesławie, Podwyszyńskim i Stępowskim znalazły dobrych przedstawicieli. To samo można powiedzieć o personalu żeńskim z beneficyantką na czele, przy współudziale pp. Wolskiej, Wojnowskiej, Sułkowskiej, Ruszkowskiej i Guerard.

Z dziesięciu pensyonarek występujących w drugim akcie, sześć mogło dla efektu estetycznego pozostać za kulisami.

Nemo.

Ruch muzyczny.

Rozpoczynamy 16-tym koncertem (ab urbe condita) Tow. muzycznego, na którym wykonano bardzo dobrze uwerturę i chór z Wilhelma Tella. 1-sza część tejże uwertury wedle oryginału napisaną jest na 6 wiolonczel, dla braku tórych zwykle słyszymy ten ustęp w przeróbce na jednę wiolonczelę solo, z towarzyszeniem innych instrumentów smyczkowych i dętych. Bardzo miłe wrażenie zrobił chór odśpiewany za filarami, co dowodzi twierdzenia wielu, że muzyka koncertowa o wiele lepsze wrażenie na słuchaczach wywiera, i daleko lepiej się słucha, jeźli wykonawców onej nie widzimy. W Beureuth i Monachium w nowych operach orkiestry już nie widać, gdyż pozy i miny grających, (szczególniej na instrumentach dętych) sprawiają pewną dystrakcyą i przeszkadzają słuchaczowi. Drugą część koncertu stanowiło *Requiem* Verdi'ego na sola, chóry i orkiestrę. Nie zgadzamy się ze zdaniem niektórych recenzentów, którzy twierdzą, że nasze Tow. ze swemi szczupłemi siłami, nie powinno się porywać na takie kolosalne dzieła, jakiem jest Requiem Verdi'ego, w takim bowiem razie publiczność nasza, nie poznałaby nigdy większych dzieł muzycznych, a tak poznaje je chociaż w miniaturze, a i ta miniatura wypadałaby pokaźniej, jeźliby w mieście naszem więcej interesowano się takiemi wykonaniami, jeźliby je popierano czynnie, a nie usunąwszy się, z boku tylko krytykowano. Siły by się potemu znalazły, ale obojętność i niechęć utrudniają wszystkie zabiegi, wysilenia i pracę. Dodajmy do tego i klimat nasz, tak niekorzystnie na głosy działający, to będziemy pobłażliwi na usterki, jakie były w wykonaniu rzeczonego koncertu. Z wyjątkiem pana Reicha, wszyscy soliści byli nie przy głosie, z orkiestry zachorował także jeden trębacz w dzień wykonania, w skutek czego brakował jeden głos w „Tuba minorum“, zresztą wykonanie tego tak trudnego dzieła było dość poprawne.

Drugi wieczór kwartetowy w sali Towarzystwa wskazał nam, że te wieczory przyjmą się u nas, zwłaszcza, jeźli panowie wykonawcy nadal trwać będą w pracy i wykonywać z taką precyzyą i skończonością utwory jak to miało miejsce i na drugim wieczorze. Słyszeliśmy kwintet Schuberta na 2 skrzypiec, altówkę i 2 wiolonczele, dwie części z sonety Bacha na skrzypce i fortepian, a rozpoczęto triem Beethowena. Na 5 wieczorze Tow. w sali redutowej 20 Lutego poznaliśmy nową siłę przybyłą do Krakowa w osobie p. Bellini-Crotta. Głos jej wprawdzie nie wielki, o miernej skali, ale szkoła dobra, śpiewa z wyrazem i czuciem. Kwintet Schuberta wypadł o wiele jeszcze lepiej i śmielej jak na wieczorze kwartetowym, a na zakończenie odśpiewał tą razą nadspodziewanie nader liczny chór mięszany dwa utwory: a) „Puszczyk“ Jareckiego i b) „Wspomnienie“ Mendelsohna. Kompozycye ładne, a wykonanie onych było prawie bez zarzutu. Pan Rygier art. sceny naszej, urozmaicił znaną swą piękną deklamacyą ten udany wieczorek. Wypadałoby jeszcze wspomnieć o koncertach hrabiego Zichy, ale ponieważ takie sztuki jedną ręką nie należą pod rubrykę sprawozdań, gdzie się na seryo o muzyce mówi, wolimy o nim zamilczeć.

Q.

Konrad Wallenrod.

Opera w czterech aktach a pięciu obrazach Wł. Żeleńskiego.

Lwów 28 Lutego 1885.

Żaden z naszych wieszczów, poetów i pisarzy nie wywiera takiego zapału i wpływu na muzyków — dzieła żadnego nie nadają się im tak pod muzykę jak utwory Mickiewicza. Już Moniuszko oblókł szatą tonów większość arcydzieł poety: ballady, romanse, sonety, Dziady itd. Taki sam wpływ wywarł Mickiewicz i na umysł Żeleńskiego, bo już przed więcej jak 20-tu laty powziął zamiar napisania opery, której librettem miał być Konrad Wallenrod, lecz z urzeczywistnieniem tej idei czekał tak długo aż talent jego kompozytorski, wiedza i wprawa rozwinęły się do tego stopnia, iż tak olbrzymiemu dziełu mógł podołać. I podołał w całem tego słowa znaczeniu! Dzięki talentowi, twórczości i wiedzy Ż. mamy dziś operę, która ma prawo i kwalifikacyę przejść granice kraju naszego, która je zpewnością przejdzie i wszystkie sceny świata cywilizowanego obejdzie.

Nie mając w ręku ani partytury, ani nawet wyciągu fortepianowego, nie możemy się tu wdawać w detaliczny rozbiór tej opery, kreślimy tylko to, co po dwukrotnem słyszeniu z librettem w ręku, w pamięci nam utkwiło:

Akt pierwszy dzieje się na Litwie. Scena przedstawia wielki podworzec zamkowy, otoczony murami i palisadą. Na prawo zamek. Głębiej, brama warowna. Na murach straże zbrojne. Ranek. Za bramą rozlega się odgłos rogów. Na to hasło, odpowiadają rogi z wałów, straż otwiera bramę przez którą wchodzi czterech rycerzy litewskich. Z zamku wychodzą żołnierze i otaczają przybyłych, przegrywkę rozpoczynają instrumenta smyczkowe ustępem politonicznie prowadzonym, który przechodzi w śliczną kantilenę na Corni a kończy się fugato. Przygrywka czyli introdukcya nastraja umysł słuchaczy odpowiednio do akcyi opery całej, a 1-szy akt jak i inne odznacza się szczególnie mistrzowską budową; rozpoczynają go pojedynczo wyrzeczone słowa. Wszystko t. j. akcya i muzyka powoli się wzmaga, rozwija, potęguje, aż przy trzykrotnem wykrzyknięciu przez chór Alf! Alf! Alf! dochodzi punktu kulminacyjnego. Chór śpiewając Alf zdradza ! śmierć mu! niech

zginie! rzuca się ku zamkowi. Wyjście Halbana uspokaja sytuacyą, przemówienie jego mityguje żołnierzy i rycerzy. Wychodzą. Scena 3-cia Halban sam, każdy spodziewa się tu aryi, a nie znalazłszy takowej w całem tego słowa znaczeniu, powiada: „a, to Wagner!“ ja zaś twierdzę, ani Wagner, ani nikt inny tylko Żeleński, niema tu ani śladu tej nudnej i nużącej wagnerowskiej „unendliche Melodie“ ale zdrowy, jako malujący uczucia i opowiadanie Halbana, śpiew wybornie instrumentowany, potem duet między nim i Alfem; w scenie 5-tej wchodzi Aldona, wywiązuje się tercet pomiędzy Aldoną, Alfem i Halbanem, ci dwaj ostatni, po pożegnaniu opuszczają Aldonę, spiesząc, gdzie ich zbawienie ojczyzny woła, a chór służebnic z muzyką na czele, otacza Aldonę, śpiewając śliczny chór „O gołąbko biała“ i na i na tem kończy się akt pierwszy.

Mówiąc tu o duetach i tercetach, nie myślcie, że to są podobne utwory duetom i tercetom Trawiatty, Trubadura lub innych oper, mają one swój wybitny charakter i zupełnie inną formę i budowę, wcale niepodobną do tamtych, są „modern“ ale znowu nadmienić musimy, że nie są wcale wagnerowskie, gdzie jedna osoba po drugiej recytuje swoją kwestyą.

Akt drugi przenosi nas do Malborskiej katedry. Scena przedstawia wnętrze wspaniałego kościoła. Ranek zaczyna świtać. Cały pierwszy plan pogrążony w zupełnej ciemności. Olbrzymie potrójne drzwi w głębi otwarte, za niemi widać rozciągający się daleki i wesoły krajobraz, oświecony pierwszemi blaskami poranku. Wśród grupy drzew wznosi się starożytna baszta, z wejściem otwartem, jakby rozwalonem ręką czasu. Po obu stronach sceny, pod ścianami rzeźbione ławy (stalle) kapituły z pulpitami. W środku sceny wielki pulpit. Na prawo z boku, na pierwszym planie, konfesyonał. Z podniesieniem zasłony, odzywa się poważny głos organu, rycerze z Arcykomturem na czele klęczą na przodzie sceny i śpiewają śliczny, prostotą swoją porywający chór „Duchu światło boże!“ Po skończeniu tegoż, oznajmia Arcykomtur rycerzom, że chwila wyboru mistrza się zbliża, rycerze powstają, przechodzą przez scenę do stall i zatapiają się w modlitwie, śpiewając pianissimo chór „Synu Zbawiciela“. Podczas tego Aldona, w ubraniu pielgrzymiem ukazuje się w głębi, wsparta na lasce, i jak cień przesuwa się przed stallami. Rycerze zagłębieni w modlitwie, nie widzą jej z poza pulpitów. Gdy Aldona zbliża się ku przodowi sceny, orkiestra milknie zupełnie, i następuje długa pauza, która robi efekt i jest zupełnie na miejscu, gdyż co dotąd się działo było przygotowaniem do akcyi 2-go aktu; od tej pauzy zacząwszy rozwija się właściwa akcya wyboru etc. Aldona po krótkiem recitatiwie, w którem wyraża pragnienie, raz jeszcze jeden ujrzeć Alfa, a potem zginąć, pada na kolana przy konfesyonale i zakrywa twarz rękami.

Halban wstaje z ławy na wprost Aldony po drugiej stronie sceny i po kolei obchodzi braci, mówiąc półgłosem każdemu do ucha: „Wallenrod lew zakonu! Wallenrod niech żyje!“ Akcya powoli zaczyna się rozwijać i wzmagać, a z nią idzie i muzyka. Po dłuższem przemówieniu Halbana za wyborem Konrada, rycerze wychodzą z ław, i otaczają go, śpiewając:

„Bóg imię mistrza w usta nasze kładzie!
„Wszak słyszeliście imię Wallenroda!
„Stańmy — brat bratu niechaj rękę poda,
„On mistrzem naszym!“

Chór.

Zgoda! Zgoda! Zgoda!
Konrad niech żyje etc.

Konrad posadzony na tronie, otrzymawszy pokłon i hołd od każdego z rycerzy, dziękuje za wybór. Zanim rozpocznie się akt wyboru, opuszczają rycerze świątynię, pozostawiając Konrada samego na modlitwie.

Przy wyjściu krzyżaków, muzyka znowu słabnie, altówki ślicznie się odzywają, powtarzając pierwotny motyw. Teraz następuje jedna z najśliczniejszych scen i jeden z najśliczniejszych numerów gry tj. duet pomiędzy Aldoną i Konradem.

W tym duecie po raz pierwszy użytym jest w operze *kanon* *). Czyż może być stosowniejsza forma dla duetu miłosnego? gdzie obie osoby przejęte są jednem i tem samem uczuciem. Rzeczywiście jest to pomysł genialny, godzien Żeleńskiego, bo dotąd żaden kompozytor na tę myśl nie wpadł. Po tym wspaniałym duecie, następuje scena między Aldoną, Arcykomturem i Konradem, w której Aldona błaga o przyjęcie jej do wieży, gdzie żywcem chce grób znaleść, na co, pomimo oporu Konrada, Arcykomtur zezwala.

Następująca scena jest najwspanialsza w całej operze tj. ceremonia oboru mistrza — muzyka jest obliczoną i napisaną dla sceny wielkiej, na której staje i porusza się najmniej 300 osób. Wchodzi oddział pachołków zbrojnych, wszystkiemi trzema drzwiami, staje w głębi i po obu stronach. Za nimi czterech heroldów prowadzi orkiestrę wojskową głównemi drzwiami. Tymczasem Arcykomtur prowadzi Konrada do tronu i staje po jednej, Halban po drugiej stronie. Heroldowie trąbią nader oryginalną, i kontrapunktycznie przeprowadzoną fanfarę, na cztery strony świata. Orkiestra wojskowa odbiera motyw tejże fanfary, grając marsza podczas którego wchodzą głównemi drzwiami rycerze i stają w dwóch lub trzech szeregach na przodzie sceny z boku, naprzeciw tronu, śpiewając chór „Dzień chwały zabłysnął nam!“. Podczas chóru rycerzy wchodzą głównemi drzwiami giermkowie w dwóch szeregach i tworzą szpaler, a potem przez dwoje drzwi bocznych ciśnie się lud i staje za giermkami. Chór kobiet śpiewa: „On czuwa nad naszą krainą“ etc. Podczas chóru kobiet, wchodzą głównemi drzwiami dziewczęta i chłopcy w dwóch szeregach, sypiąc kwiaty przed postępującymi kapłanami. Pochód otwiera chorąży ze sztandarem Matki Boskiej, potem idzie czterech kapłanów parami, za nimi trzech paziów, środkowy niesie na poduszce wielki krzyż zakonu, znowu czterech kapłanów i trzej paziowie niosący miecz; znowu czterej kapłani i trzej paziowie niosący płaszcz W. Mistrza. Kapłani i paziowie stają naprzeciw tronu po drugiej stronie sceny, a chłopcy i dziewczęta tworzą szpaler od tronu do kapłanów, którzy śpiewają: „Konradzie ty nam rządź“. Cóż za wspaniały widok przedstawia w tej chwili cała scena?! Na tle pierwotnego marsza, który gra okiestra na dole, odzywają się najrozmaitsze chóry: rycerzy, kobiet, ludu, kapłanów, dzieci, równocześnie muzyka wojskowa na scenie, organy, biją w dzwony, a wszystko zgadza się i łączy w cudowną i wspaniałą całość, która słowami opisać się nie da.

Co za obszerne pole do popisu daje ten akt malarzowi dekoracyi, kostiumerowi i reżyseryi. Naturalnie we Lwowie widzieliśmy to tylko w miniaturze, a jednak kolosalne wrażenie wywarł na nas ten akt. Gdy już wszystko na scenie zebrano pod koniec chóru, zbliża się do tronu paź z biblią, Konrad przybrany w insygnia W. Mistrza, odstawia krzyż i opiera go o poręcz tronu, bierze biblię w obie dłonie i podnosi do ust, kładzie napowrót na poduszkę i mówi: Przysięgam! Na to Aldona za sceną zaczyna nucić swą pieśń: „Któż me westchnienia, kto me łzy policzy?“ Konrad słysząc to chwieje się, zakrywa twarz ręką i pada na krzesło. Wspaniały chór wszystkich zebranych na scenie kończy akt.

Dokończenie nastąpi.

Kalejdoskop warszawski.

II.

O konkursie i poprzedzającej go walce. Jakie to robi na nas wrażenie? P. Hovorka i teatr pragski. Czeski malarz i nasza wystawa. Tow. Z. Sz. P. Słówko o krytyce malarskiej i illustracyach.

Pomimo, iż p. Prus z p. Gomulickim w polemicznej werwie o zasadę, czy należy budować pomniki dość zapisali papieru, zużyli żółci i cytat, pomimo, że p. Matuszewski odsądził wszystkie projekty pomnikowe w *Gazecie Polskiej* od wartości artystycznej, a p. Matuszewskiego p. Kucharzewski pomówił w „Kur. Porannym“ o nieznajomość sztuki, pomimo tych walk przedwstępnych telegramy doniosły nam smutną wiadomość, iż znów p. Dykas (dziś popularne już nazwisko, dzięki dwom kompromitacyom) był szczęśliwym wybrańcem... sędziów. Ha, już snadź przeznaczonem było, że na zapomogę dla tego rzeźbiarza składać się będzie cały kraj. Czy jednak nie prościejby było wezwać ogół otwarcie do składek na dalsze kształcenie p. D. a nie urządzać jakieś komedye konkursowe, których reżysserowie z góry byli przekonani o rezultacie widowiska *).

Po co tyle zachodu, tyle skromności w szafowaniu groszem publicznym i do tego wdowim!..

Kto uważnie przeglądał listę ofiarodawców na budowę pomnika, ten łatwo sobie zapamiętał, że nie było tam mitr książęcych i sum wielkich. Od skromnych datków do groszowych składali ci, którzy wieszcza czytali a nie ci, którzy stanowią polerowaną blaszkę nad pustkami umysłu i serca. A kiedy maluczcy poskładali oszczędności swoje, w przekonaniu, że je dają na ołtarz ogólnej korzyści, wybrano protegowanego tych, co blichtrem a blagą świecą. I żeby choć raz się skończyła ta smutna i bolesna farsa,—nie, potrzebowano raz jeszcze ośmieszyć siebie i zadrwić z ogółu. Jeszcze kilka takich udanych konkursów a zabraknie funduszów na nagradzanie... Dykasów. My, warszawiacy, dziwnie bywamy pomijani w tej sprawie, chociaż niesłusznie.

Do składek należeliśmy, jak nam to nakazywał obowiązek, dziś ten sam obowiązek uczciwości obywatelskiej, każe nam z wyrzutem zawołać: „przestańcie sędziowie, bo się źle bawicie“!.. Dość tego lekceważenia sobie opinii, dość kpin z woli kraju całego. Kiedy myśleliśmy stawiać pomnik Mickie-

---

*) Forma muzyczna kontrapunktyczna, w której obydwa głosy śpiewają nuta w nutę jedno i to samo, tylko o takt później jedno od drugiego, a pomimo to dyssonansu niema.

*) Zdanie swoje w tej sprawie wypowiedzieliśmy na czele Przeglądu; pomimo to umieszczamy w całości korespondencją warszawską, gdyż jest ona echem zapatrywania się mieszkańców Warszawy na działalność jury. Przyp Red.

wiczowi, nie mieliśmy na myśli budowania studni lub pompy (fotogr. już nas doszły), chcieliśmy uczcić pamięć poety, a nie hydropaty. O, czemu podobny zdrój zimnej wody nie zmyje z sądu tej plamy, jaką nań głos opinii kładzie! Słusznie też uczynili redaktorowie pism naszych, protestując w imieniu swoich ofiarodawców przeciw podobnemu wyrokowi. „Kur. Warsz.“ po korespondencyach, potępiających wynik sądu, umieścił list p. Krasińskiego, który jednak, mojem zdaniem nie zmienia postaci rzeczy. Chcemy wierzyć, że głos oburzenia ofiarodawców zniewoli *jury* do zaniechania budowy pomnika według projektu p. Dykasa, czy to jednak zmieni w czemkolwiek winę lekkomyślności, czy też stronniczości sędziów? Nie, a nawet ją powiększy, bo się okaże, że pierwszą nagrodzony premią projekt najmniej posiada warunków wystawienia.

Ręczę, że Czesi tak by się nie skompromitowali w podobnej sytuacyi. Oczywiście nie opieram tego zdania na powodzeniu, jakiem się cieszy u nas „sleczna“ Poszpiszilówna, ani też nie wnoszę o Czechach z ich dramatycznej primadonny, będąc zdania, że aktorka może doskonale reprezentować... teatr, ale nigdy naród. Sądzę jednak, że naród, dbający o godność osobistą umie w każdej sprawie wynaleźć sobie przedstawicieli, którzyby go nie kompromitowali. Nikt też pewnie z sędziów krak. *jury* na posłów powołany nie będzie, bo nie wskórałby nic; już wolę w podobnych wypadkach mieć przy sobie pana Hovorkę.

Poczciwy ten człowiek wziął sobie za zadanie, oprócz wydawania „Divadelnych listów“ wymianę aktorek między Pragą a Warszawą. Jak dotąd udaje mu się to. Po słowiczych tonach pań Sittowej i Reichowej, po rzewnych pociągnięciach smyczka p. Ondrzyczka, ujrzeliśmy jeszcze dramatyczną Czeszkę i wyznać trzeba, że wrażenie odnieśliśmy korzystne.

P. Poszpiszilówna, posiada wiele prawdy w grze swojej i zachowuje subtelne odcienienia w dyalogowaniu; powodowanie się nie już sympatyą pobratymczą, lecz trzeźwym sądem i dodatni wyrok tego sądu—to wielka pochwała dla p. P., trzeba tu bowiem wziąć w rachubę popsuty smak publiczności warsz., niedawno jeszcze rozkoszującej się grą Modrzejewskiej, i pamiętającej Sarę Bernhardt, nie mówiąc o własnej Derynżance lub Popielce. P. Poszpiszilówna jest przedstawicielką czeskiego teatru mile u nas widzianego, ale wcześniej jeszcze powitaliśmy innego gościa w sferze sztuki — gościa znakomitego, o którego moglibyśmy być zazdrośni, gdyby nie to, że sami pochlubić się możemy geniuszami w tym kierunku. Mam tu na myśli Brozika, którego płótno „Hus przed sądem“ od dłuższego czasu budzi u nas wielkie zainteresowanie. Nic dziwnego, kto nie jest zwolennikiem oglądania karczem i błota na wiosnę, błota i karczem na jesieni, żydowskich bryczek z przodu i złamanych wozów z tyłu, wreszcie polskich mostów (z dziurami), ten patrząc na obraz czeskiego malarza odczuje dramat rozgrywający się przed sądem w Konstancyi. Jak się to dzieje zwykle z bohaterami, Hus sam posiada mniej przymiotów pendzla, niż otaczający go; szczególnie wyróżniają się dwaj czescy patryoci, snadź wierni Husa adherenci, z żalem i oburzeniem poglądający na potępienie swego mistrza; czuć w nich przyszłych rycerzy za ukochaną przez siebie ideę religijną walczących; po za tą grupą o wiele barwniejszą i różnowyrazową jest rada biskupów; każda twarz jasno wskazuje, że wszyscy się zeszli nie na dysputę, lecz na potępianie, że ta szermierka argumentów jest tu podjętą raczej dla formy; ta pewność siebie u jednego z ojców kościoła, spokojne oczekiwanie u drugiego, wreszcie zaciekłość w głównym oskarżycielu, tworzą wyborne przeciwstawienie pokornej postawie Husa. Drugoplanowa postać Zygmunta jest może nieco sztywna i konwencyonalna, tę jednak wadę wynagradza z lichwą estetyczne grupowanie, harmonja świateł i obszar powietrza.

Pojawienie się obrazu Brozika u nas jest wstępem, jaki uczynił komitet Tow. Zach. Sztuk Pięk. do sprowadzenia arcydzieł pendzla europejskiego. Jest to zarazem przebudzenie się instytucyi, która przez dłuższy czas w letargu zostawała, uśpiona niezaradnością poprzednich kierowników, tudzież koteryjnością miernot artystycznych, bojących się wystawienia na porównanie. Dziś wstąpiła już nowa krew w żyły T. Z., nie będzie to więc Towarzystwo Zniechęty lecz Zachęty i życzyć wypada, aby *crescendo* się rozwijała ta pożyteczna instytucja.

U nas od pewnego czasu wszystko się przypisuje malarzom, jak niedawno wioślarzom. Malarze są *en voce*; bale i pikniki, wystawy i koncerty, wszystko to dziatwa Appellesa podejmuje chętnie i wykonywa. Nawet niektórzy za pióra sięgnęli i nuże zabijać krytyków, zamiast ołówkiem illustrować lub pendzlem malować. Wywiązała się ztąd pomiędzy jednym z młodszych malarzy i jednym ze starych estetyków formalna wojna, której jedynym rezultatem, jak dotąd, jest wylanie sporej dozy żółci, atramentu i osobistych niechęci. A illustrowane nasze pisma po dawnemu klisze zagraniczne kupują.....

J. K.

DROBNE WIADOMOŚCI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

Literackie i naukowe.

— **Czytelnia akademicka** otworzona przed pięciu miesiącami zdaje się chylić ku rozwiązaniu. Na odbytem w zeszłym tygodniu Walnem Zgromadzeniu dotychczasowy zarząd złożywszy swą władzę, tak pisze w drukowanem sprawozdaniu, „wytworzyła się atmosfera nieznośna i ciężka, a co gorsza, odbierająca nam wszelką możność działania, tak iż zwolna przemieniamy się w gospodarczy komitet, a to nie było ostatecznym celem naszego wejścia w skład zarządu.“ Smutne!

— **Pozytywizm warszawski**. Pod powyższym tytułem p. T. J. Choiński kreśli w „Niwie“ obszerniejszy rozbiór ruchu t. zw. „młodej prasy.“ Po ukończeniu pracy, streścimy ją ogólnikowo.

— **Nowelle** i ich kompletne zbiory mnożą się bezustannie; zapowiadają ukazanie się zbiorowych wydań prac pp. Gawalewicza, Gomulickiego, Morżkowskiej i Zapolskiej. Przed nami zaś leżą dwa tomy nowel i szkiców literackich p. Z. Chłędowskiej, tudzież „Nowe humoreski“ Józefa Blizińskiego. O każdej z tych książek podamy niebawem szersze wzmianki.

— **Kazimierz Zalewski** niezależnie od drukującej się w „Echu teatralnem“ komedyi „Friebe“ wykończył inny utwór sceniczny „Lis w kurniku,“ który poznać mamy z „Tyg. Illustr.“

— **Edmund Chojecki** (Charles Edmond) oddawna milczący powieściopisarz, przypomniał się publiczności polskiej nowym utworem „Życie i sen.“

— **Józef Brandt** obchodzić będzie w r. b. dwudziestopięcioletni jubileusz zawodu malarskiego. Uczniowie i wielbicie zamierzają uczcić tę uroczystość pamiątkowym albumem. Komitet stanowią Jan Rosen i Alfred Kowalski w Monachium.

— **Odczyty Jerzego Brandesa** miane w Warszawie w ubiegłym miesiącu wyszły w osobnej osobnej książce.

— **P. A. Malewicz** spróbowała sił swoich na polu prelegenckiem a nie będąc pewną czy jej nazwisko dostateczną będzie rękojmią przynęty — uprosiła p. Frenkla o współudział w części deklamacyjnej. Sam pomysł połączenia odczytu z popisem aktorskim wydaje nam się dziwnym, zaś zdania p. Malewicz „o rodzinie“ wyrażeniem jej... dobrych chęci.

— **Szereg odczytów** urządza Tow. Brat. Pomocy Ucz. Uniw. Jagiell.

— **Gazeta narodowa** zmieniła właściciela: p. Jan Dobrzański sprzedał ją p. Czerwińskiemu, b. wydawcy i założycielowi „Reformy“ (dawnej), kierunek pisma pozostaje bez zmiany; na czele redakcyi stanął długoletni współpracownik gazety p. Platon Kostecki.

— **Ks. Sembratowicz** mianowany został metropolitą rusińskim w Galicyi.

— **Wystawa czasopism** urządzoną została w Nicei, staraniem p. Czarnowskiego. Dział polski obfity.

— **Nihiliści**, taki jest tytuł najnowszej książki Jana Scherra, znakomitego krytyka i historyka liter.

— **Zofia Menter** koncertuje obecnie w Warszawie.

— **Krystyna Nilson** obchodziła 25-cioletni jubileusz swej śpiewaczej karyery.

— **Times**, jedno z największych pism na świecie, obchodził niedawno stuletni jubileusz swego istnienia.

— **W. Hugo** z okazyi 83 letniej rocznicy urodzin doczekał się przepysznego wydania swoich utworów.

— **Michał Bałucki** napisał satyrę obyczajową w formie nowelli p. t. „Szpital waryatów.“

Z dziedziny malarstwa, muzyki, rzeźby, teatru i architektury.

— **Władysław Żeleński** otrzymał od zagranicznych agentów oferty, celem wystawienia „Wallenroda“ na większych scenach europejskich.

— **Bilecik miłosny** jednoaktowa komedya M. Bałuckiego, drukowana w „Ananasie“ i wydana w osobnej odbitce, ma się niebawem ukazać na scenie teatru Rozmaitości w Warszawie.

— **H. Redlich**, jak wiadomo, umierając zostawił rodzinę w niedostatku; grono ludzi dobrej woli postanowiło zebrać odpowiedni fundusz na dochód wdowy z wystawy na ten cel urządzonej. We Lwowie, gdzie ją urządzono cieszy się ten szlachetny zamiar poparciem.

— **Benefis p. Anny Kałużyńskiej**, pracowitej i uzdolnionej artystki naszego teatru powiódł się, a przedstawienie w dniu tym dramatu p. Antoniewicza „Anna Oświęcimówna“ dowiodło poszanowania utworu oryginalnego. Odkładając dokładne sprawozdanie do numeru następnego, tymczasowo zaznaczamy, że wszyscy artyści z zadań swoich wywiązali się sumiennie; zarówno pp. Sobiesław i Rygier, jak p. Barszczewska i sama benefisantka zasłużyli sobie na uznanie, którego im nie szczędziła publiczność.

Autorzy i wydawcy pragnący wzmianki o swoich pracach i nakładach w „Przeglądzie lit. art.“ zechcą takowe nadsyłać pod adresem redakcyi:
Ulica Sławkowska, Hotel Saski.
